

Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO-KULTURALNY

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GAZETA POWIATOWA

ISSN 1641-1935

NR 2/2017 (148)



foto: Z. Rodewald

Dwory i pałace Ziemi Lublinieckiej

GMINA PAWONKÓW



Gmina Pawonków, położona jest w zachodniej części powiatu lublinieckiego. Zajmuje powierzchnię ok. 119 km² i liczy ok. 6700 mieszkańców. Siedziba gminy położona jest przy drodze krajowej DK46 w odległości ok. 10 km na wschód od Lublińca i ok. 45 km od Opola. Gmina jak większość terenu naszego powiatu ma charakter rolniczy. Piękne krajobrazy, położone wzdłuż rzeki Lublinicy, lasy i stawy sprzyjające wypoczynkowi i turystyce. Na terenach gminy zachowało się również wiele ciekawych zabytkowych obiektów.

GWOŹDZIANY

Miejscowość leży w północno-zachodniej części gminy, ok. 5 km od Pawonkowa w kierunku na Dobrodzień. Nazwa wywodzi się prawdopodobnie od staropolskiego słowa *gwozd* – las. Pierwsza wzmianka zamieszczona w protokole wizytacji kanonicznej pochodzi z 1679 r. Znajduje się tutaj barokowo-klasycystyczny pałac zbudowany w XIX w. przez właścicieli miejscowości i okolicznych majątków rodziny von Lucken. Pałac wielokrotnie zmieniał właścicieli, a po II wojnie światowej także swoje przeznaczenie. Były tutaj przedszkole i siedziba Spółdzielni Produkcyjnej. *Herbarz szlachty śląskiej* podaje, że właścicielem Gwoździan był prawdopodobnie Mikołaj Boye z Pruszkowa k. Olesna. W 1447 r. wymieniany był Nicolauss de Gwoździan, a w 1456 r. Nickel von Gwoździan. Także w XVI i XVII w., Gwoździany należały do rodziny Boye. W 1553 r. Mikołaj Boye z Gwoździan zakupił stawy pod Pawonkowem. W 1571 r. wymieniani byli Mikołaj i Jan Boye, w 1598 r. Jan, a w 1610 r. Mikołaj Boye. Od 1637 r. właścicielem został

Bogusław Hrycyk • CD. NA STR. 3



Pałac w Gwoździanach



Herb małżeński
Gotfryda von Lucken
i Waleski de domo
von Löbbecke



Pałac w Dralinach



Ziemia Lubliniecka – Magazyn Społeczno-Kulturalny
Wydawca: Powiat Lubliniecki
Redaktor naczelny: Bogusław Hrycyk; sekretarz redakcji: Aneta Konieczny; pismo redagowane przez Kolegium Redakcyjne w składzie: Arkadiusz Baron, Zbigniew Chromik, Krzysztof Kanclerz, Marzena Koza, Andrzej Musioł, Edward Przebieracz, Sebastian Ziółek, Mariusz Żymierski
Adres redakcji: Starostwo Powiatowe w Lublińcu, ul. Paderewskiego 7, tel. (34) 35–10–500, wew. 601, e-mail: gazeta@lublinieck.starostwo.gov.pl
Nakład: 3000 egz.
Skład i druk: Drukarnia Sil-Veg-Druk; www.svd.pl; tel.: 34 356 29 61

Materiały do gazety przyjmowane są w siedzibie Starostwa Powiatowego w Lublińcu, pokój 21. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie także prawo ich skracania. Nieprzyjmowane są artykuły niepodpisane. Redakcja nie odpowiada za treść artykułów.

DWORY I PAŁACE CD.

mąż Ewy von Boye – Jan Paczyński, a następnie ich synowie Jan Adam i Jan Jerzy, który z małżeństwa z Joanną Marią von Strachwitz pozostawił dwóch synów Karola Wilhelma i Jerzego Szambora. Pod koniec XVIII w. właścicielem był Karol Moryc von Poser. Następnie majątek należał do rodu Goettlieba Fryderyka Ferdynanda von Paczyńskiego ze Starego Olesna. W II poł. XIX w., dobra zakupił pochodzący z Westfalii Fryderyk Edward von Löbbecke z Wrocławia. Majątkiem zarządzał jego zięć Gotfryd von Lucken, mąż najmłodszej córki, Valeskiej. W 1886 r. majątek liczący ok. 1034 ha należał już do Gotfryda, którego syn Eberhard w latach 1896–1904 był starostą lublinieckim. W 1905 r. właścicielem był Landsbank z Berlina, a od 1912 r. Franz Preiss. W 1930 r. właścicielem została Górnośląska Spółka Ziemska z Opola, która dokonała parcelacji majątku. Obecnie pałac jest własnością osoby prywatnej.

DRALINY

Miejscowość leży w odległości ok. 6 km na zachód od Lublińca, w połowie drogi między Lubeckiem a Pawonkowem. W *Herbarzu Szlachty śląskiej* jest wymieniana w 1571 r., wówczas należąca do Jana von Boye, właściciela Gwoździan i okolicznych majątków. Klasycystyczny pałac w Dralinach zbudowany został prawdopodobnie w 1898 r., chociaż pierwsze zabudowania istniały już w 1747 r. Pałac, prawdopodobnie po pożarze, przebudowano w poł. XIX. Po II wojnie światowej pełnił funkcję Ośrodka Pomocy Społecznej, później należał do Gminnej Spółdzielni. Od końca lat 80-tych znajduje się w rękach prywatnych. Od 2007 r. właścicielem był Jerzy Koza, a od 2013 r. właścicielem jest Lech Świerczyński. Dokonał on gruntownej odbudowy pałacu i zabudowań oraz rewitalizacji parku.

Bogusław Hrycyk
 Zdjęcia: Sylwia Mietelska

Spis treści

DWORY I PAŁACE ZIEMI LUBLINIECKIEJ	2
MÓJ WRZESIEŃ 1939 ROKU	4
WIĘZIENIE Z PRUSKIM POCHODZENIEM	5
KSIĄDZ DR JAN URBACZKA (1915–2003)	6
TABLICE PAMIĄTKOWE ZIEMI LUBLINIECKIEJ (VIII)	8
KOCHCICE NA KARTACH KRONIKI SZKOLNEJ – ROK 1905	10
O EDUKACJI REGIONALNEJ	11
ZARYS DZIEJÓW SZKOLNICTWA W HARBUŁTOWICACH W LATACH 1947–1993	12
ARCHIWÓW CZAR...	14
ANNABERG. WYPRAWA NA ŚWIĘTĄ GÓRĘ ŚLĄZAKÓW (CZ. I)	16
JAK TO BYŁO NA OBOZIE HARCERSKIM	19
AROMATY GÓRNEGO ŚLĄSKA (CZ. III)	19
III POWIATOWY KONKURS JEDNEGO WIERSZA ROZSTRZYGNIĘTY!	20
ROK 2017 ROKIEM ŚWIĘTEGO BRATA ALBERTA (ADAMA CHMIEŁOWSKIEGO 1845–1916)	22
REZERWAT JELENIOK-MIKULINY	23
LUBLINIEC WCZORAJ I DZIŚ	24

Mój wrzesień 1939 roku

Minęła kolejna rocznica wybuchu II wojny światowej. Tamte tragiczne wydarzenia wrześniowe zostały na długo utrwalone w pamięci ówczesnego pokolenia. Choć upłynęło już 78 lat, przetrwały one również i w moich wspomnieniach. Na to, co się wówczas wokół mnie działo patrzyłem oczami 6-letniego chłopca, nie umiającego zrozumieć i wytłumaczyć sobie zachodzących wydarzeń. Jednak te przeżycia musiały bardzo brutalnie wstrząsnąć moją dziecięcą psychiką, skoro tak długo i wyraziście je pamiętam. Te moje naiwne i luźne wspomnienia zostały później wzbogacone dodatkowymi szczegółami (nazwy miejscowości, nazwiska, daty i in.) dzięki opowieściom rodziców.

Pamiętam wczesny poranek 1 września 1939 roku. Tego dnia zbudził nas ojciec i pospiesznie wyprowadził na podwórko. Na niebie dość nisko przelatywały samoloty, a w spokojnej wsi Dębowa Góra zapanowała jakaś napięta atmosfera, bo ludzie skupiali się w grupki. Ktoś przyniósł wiadomość, że wybuchła wojna...

Jeszcze w poprzednich dniach beztrzesko napawaliśmy się widokiem żołnierzy, którzy stacjonowali we wsi. W naszej stodole również stało kilka koni. Tamtego pamiętnego poranka żołnierzy już we wsi nie było.

W domu zapanowała nerwowa krzątanina. Ojciec coś chował w wykopanym w ogrodzie dole. Potem były pożegnania, bo ojciec został pilnie wezwany do pracy (pracował wtedy na kolei w Boronowie). Na drodze przelotowej prowadzącej z Boronowa do Częstochowy zaczęły się pojawiać furmanki wypełnione ludźmi i tobołami. Również niektórzy mieszkańcy wsi zaczęli uciekać do lasu, tam też wyprowadzali swoje bydło. Wkrótce także i my dołączyliśmy do tłumu sunącego szosą. Zostaliśmy zabrani na furmankę, na której były już stłoczone inne rodziny kolejarskie. Dziś wyobrażam sobie jak straszny to musiał być dzień dla mojej matki. Udawała się w nieznane, z czwórką małych dzieci. Najstarszy brat miał 9 lat, najmłodszy 2 lata, a 4-letnia siostra miała sparaliżowaną nogę po przebytej chorobie Heinego-Medina. W dodatku ojca nie było z nami.

Gdy dojechaliśmy do Częstochowy, po raz pierwszy w życiu słyszałem bliski jazgot karabinu maszynowego. Podobno wojsko strzelało do krążącego samolotu. Pamiętam, jak potem staliśmy długo na peronie kolejowym w niesamowitej ciszy i jak nas ładowano do pociągu. Jechaliśmy w odkrytym wagonie towarowym (jak się później dowiedzieliśmy, w pociągu tym znajdowali się również Gizowie z Boronowa). Gdy nadszedł wieczór, na niebie widoczne były błyski światła i dochodził z dala nieustanny huk. Czasem przelatywały nad nami samoloty, wtedy pociąg się zatrzymywał, a my uciekaliśmy z wagonu. Któregoś dnia też się zatrzymał, a ludzie pospiesznie rozproszyli się na przyległym polu. My leżeliśmy w jakimś rowie. Zewsząd słychać było nawoływania i płacz, a nad nami bardzo nisko przelatywały z ogromnym rykiem samoloty z czarnymi krzyżami na skrzydłach. Co chwilę rozlegał się ogłuszający huk. Wtedy po raz pierwszy widziałem rannych i zabitych.

Kiedy nasz pociąg zatrzymał się na stacji kolejowej Kowel (na Wołyniu) i kilka godzin stał na boczniczy kolejowej. Matka wysłała mojego starszego brata i mnie do miasta, żebyśmy kupili trochę chleba. Inne rodziny też to robiły. Już wracaliśmy, gdy nagle pociąg ruszył z miejsca, a my pobiegliśmy z płaczem za nim. Na szczęście, zahamował po kilkuset metrach. Dowiedzieliśmy się potem, że na krzyk rozpaczy naszej matki, Józef Giza (ówczesny zawiadowca odcinka drogowego PKP) zdołał uprosić kierownika pociągu (swego kolegę) o chwilowe zatrzymanie pociągu.

Na którejś stacji za Kowlem kazano wszystkim wysiadać z pociągu. Dalej szliśmy pieszo. Matka niosła siostrę i bagaż, zaś mój starszy brat musiał dźwigać tego najmłodszego. Czasem zatrzymywaliśmy się u różnych ludzi. Matka najmowała się do pracy w polu i wieczorem przynosiła w chustce trochę ziemniaków. Wtedy była ucztą, bo zwykle byliśmy głodni. Po upływie kilku dni przeżyliśmy wielką radość. Nareszcie spotkaliśmy się z tatą. To cud, że udało mu się nas odnaleźć. To wydarzenie zapamiętałem na długie lata chyba dlatego, bo wtedy po raz pierwszy widziałem bardzo zapłakanego ojca.

Któregoś dnia przybyli jacyś żołnierze ubrani w inne mundury. Na ich czapkach były czerwone gwiazdy. Zabrali wtedy mojemu ojcu obuwie i zegarek kieszonkowy. Wtedy przez pewien czas byliśmy skoszarowani w jakimś pałacu. Podobno jego właściciela wraz z rodziną wywieziono na Sybir. W pałacu tym było tylko jedno pomieszczenie, w którym stał piec kuchenny. Przez cały dzień stały tam kobiety w kolejce, by coś ciepłego ugotować dla swoich rodzin, a tych rodzin było tam chyba kilkadziesiąt... Spaliśmy na gołej podłodze. Nam dzieciom, rodzice czasem podkładali pod głowy części swojego ubioru. Pamiętam, że potrzeby fizjologiczne załatwialiśmy wszyscy w pobliskim lasku.

Potem przygarnął nas jeden z polskich gospodarzy. Udośćpnił nam mały, opuszczony budynek, w którym znajdował się tylko jeden pokój i mała komórka z żarnami. Mieszkaliśmy tam z wielodzietną rodziną Molenda z Lublińca. Spaliśmy na podłodze wyścielonej na noc słomą. Codziennie rano słomę tą zwijano w dwa duże snopy. Ojciec pracował u gospodarza i zapewniał nam bardzo skromne utrzymanie. Pamiętam też taki szczegół, jak rodzice przypalali czasem na rozgrzanej blasze ziarno, następnie je mieliли w żarnach i z tego mieliśmy kawę. Wieś, w której mieszkaliśmy była podzielona. Z jednej strony lasku mieszkali Polacy, a z drugiej strony Ukraińcy. Rodzice opowiadali, że jedni z drugimi nie utrzymywali żadnych kontaktów.

W tym okresie, ojciec udawał się kilkakrotnie pieszo do oddległego urzędu zwanego „rejkomem” (był to z pewnością rejonowy komitet sowieckiej partii). Starał się o zezwolenie na nasz powrót do domu. Pewnego razu został tam mocno pobity, powrócił posiniaczony i z wybitymi zębami. Wreszcie w maju 1940 roku mogliśmy stamtąd wyjechać. Jeszcze na peronie kolejowym Sowietci przeprowadzali szczegółowe kontrole i rewizje. Niektórym nie pozwolono wsiadać do pociągu, mówiono im, że pojedą na Sybir.

Myślę, że tylko cudem udało się nam wtedy stamtąd wy dostać, to jest z terenów zajętych przez Rosję Radziecką. Być może, stało się tak dlatego, że jesteśmy Ślązakami. Górny Śląsk został bowiem przez okupanta włączony do III Rzeszy, a oba te mocarstwa łączył jeszcze wtedy Pakt Ribbentrop-Mołotow.

Damian Gołąbek

Więzienie z pruskim pochodzeniem



foto: Damian Siviński

Ponoć już w 1222 r., książę Władysław I Opolczyk w czasie polowania, urzeczony pięknem miejsca, powiedział do swoich towarzyszy: „Lubi tu mi się miasto zbudować.” I rzeczywiście, wokół kapliczki ufundowanej przez księcia, wzniesiono miasto Lubliniec – w sercu Borów Lublinieckich na Wyżynie Śląskiej. Według *Codex Diplomaticus Silesiae*, Lubliniec miał powstać za zezwoleniem księżnej Violi – regentki w 1234 r., jako osada targowa wraz z grodem zwanym „zamkiem”, otoczonym przez Małą Panew (obecnie zwaną Lublinicą) chroniącą zamek od południa. Osada szybko otrzymała prawa miejskie, gdyż prowadził tędy szlak handlowy z Wrocławia na Mazowsze. Do 1532 r. Lubliniec znajdował się w rękach Piastów Opolskich, potem zawładnęli nim Habsburgowie. Za panowania króla Zygmunta I Starego nabyli go Włosi, a od połowy XVIII wieku w Lublińcu rozpoczęło się panowanie pruskie i okres silnej germanizacji. Pamiątkami po czasach panowania pruskiego, jest kilka pięknych budowli wzniesionych w latach 1882–1883, m.in. Szpital Chirurgiczny ufundowany przez braci Seltenów, Szpital Psychiatryczny, Sąd Powiatowy oraz Więzienie Sądowe. Więzienie usytuowane jest w samym sercu miasta, u zbiegu trzech ulic i trzech instytucji: sądu, szpitala i prokuratury. Od początku swego istnienia spełnia tę samą rolę – zakładu karnego, który był miejscem odosobnienia zarówno pospolitych przestępców jak i polskich patriotów. W czasie I-go powstania śląskiego, kiedy miasto opanowały bojówki niemieckie, więzienne cele szybko zapełniły się Polakami walczącymi o wolność.

Co prawda, po trzecim powstaniu miasto wróciło do rąk Polaków (po plebiscycie przeprowadzonym w 1922 r.), lecz niestety nie na długo. Bujny rozwój miasta w dwudziestolecie międzywojennym zahamowała okupacja hitlerowska. Podczas II wojny światowej, w więzieniu przy ul. Sobieskiego uwięziono setki polskich rodzin. Wystarczyło być Polakiem i trafiało się

najpierw na Gestapo w Zawierciu, a potem do Lublińca. Żony i matki więzione na oddziale dla kobiet, troszczyły się o swoich bliskich z oddziału męskiego. „W więzieniu – wspomina była więźniarka Jadwiga Kalinowska – pracowała strażniczka, pani Wiewiórska, Niemka. Prowadziła tam konspiracyjną pracę solidarnościową. Kiedy chciałyśmy przekazać coś na oddział męski na przykład jedzenie (...) dostawałam od pani Wiewiórskiej klucze i szłam na oddział męski. Z Lublińca większość więźniarek wywożono do fabryki Dreilinden Maschinenbau GmbH w Niemczech. Mogły one wrócić do rodzimego miasta dopiero w styczniu 1945 r., kiedy to Lubliniec został wyzwolony, a wraz z nim wszystkie urzędy i więzienie”.

Po wojnie, nowe władze zakładu karnego zlikwidowały kaplicę więzienną z pięknymi witrażami oraz mieszkalne apartamenty naczelnika, które znajdowały się na pierwszym piętrze zakładu i zaadaptowały je na pomieszczenia użytkowe m.in. ambulatorium. Pierwszy generalny remont dziewiętnastowiecznych murów więziennych przeprowadzono w latach 1964–1966. Przystosowano je wówczas na zakład karny dla kobiet. „Na czas remontu zostało ono wyludnione. – wspomina ppłk Jan Dąbrowicz (naczelnik jednostki w latach 1968–1990) – Zerwaliśmy stropy, założyliśmy centralne ogrzewanie, kanalizację wodno-ściekową i nowe instalacje elektryczne. Większość cel pojedynczych przerobiliśmy na wieloosobowe, w każdej instalując kącik sanitarny. Podczas remontu, chlewnię dla świń znajdującą się od wschodniej strony więzienia przebudowano na hale produkcyjną”. Przez prawie trzydzieści lat pracowało tam tysiące więźniarek. Szyły ubrania, darły pierze lub produkowały teczki skórzane. Kiedy praca skazanych w nowej rzeczywistości ekonomicznej przestała być opłacalna, hale zamknięto, a następnie w 2002 r. zaadaptowano na nowoczesny oddział terapeutyczny dla 40 narkomanek.

Michał Janusz

Ksiądz dr Jan Urbaczka (1915–2003)

Zajmując się amatorsko historią Lublińca i Śląska, zwłaszcza w jej wymiarze kościelnym, odnoszę wrażenie, że Lublinieć miał szczęście do wybitnych duszpasterzy, którzy tutaj pracowali. Może nie były to osoby z pierwszych stron gazet. Niemniej ich koleje życia, działalność i dzieła, które pozostawili, imponują i wzbudzają szacunek. Wymieńmy kilku z nich chronologicznie: ks. Gustaw Majewski (proboszcz, konwertyta), ks. Paweł Rogowski (proboszcz w Jędrysku, działacz narodowy), o. Jan Wilhelm Kulawy OMI („patriarcha” polskich oblatów, założyciel Małego Seminarium Duchownego w Lublińcu), ks. Józef Dwucet (proboszcz, działacz narodowy, a w tym Towarzystwa Czytelni Ludowych), ks. płk Jan Szymała (kapelan 74 GPP, kapelan w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, proboszcz), bł. o. Józef Cebula OMI (dyrektor Małego Seminarium Duchownego, przełożony lublinieckiej wspólnoty oblatckiej, męczennik), bp Wilhelm Pluta (proboszcz, teolog, wychowawca, sługa Boży), ks. Paweł Miś (proboszcz, budowniczy kościołów). Lista ta jest z pewnością dłuższa, a każdy z Czytelników mógłby stworzyć własną.

Osobę ks. Jana Urbaczki z pewnością wielu z nas jeszcze doskonale pamięta. Osobiście, gdyby poproszono mnie o moje wspomnienia w kilku zdaniach, powiedziałbym: „starszy jegomość, w którego ruchach i postawie była widoczna ogromna żywotność”. Jako ministrant w parafii św. Mikołaja pamiętam, że zawsze był bardzo punktualny. Ówczesny proboszcz – ks. Józef Żurek, mógł w pełni liczyć na jego pomoc w sprawowaniu Mszy świętych, zwłaszcza w okresach wytężonej pracy duszpasterskiej takiej jak odwiedziny kolędowe, okresy związane z największymi uroczystościami i zapewne wielu innych, z których nawet nie zdawałem sobie sprawy. Zapamiętałem go również jako spowiednika, zarówno będąc penitentem oraz widząc po prostu jego przebywanie w konfesjonale przed każdą Eucharystią. Charakterystyczny dla ks. Jana (niestety ginącego już „gatunku” ludzi) był ciągły kontakt z książką. Przychodząc do zakrystii zawsze kładł na kredensie rzecz, którą właśnie czytał. Nie rozstawał się z nią nawet w konfesjonale. Tytuły były przeróżne (ciekawość mnie zżerała, więc jak mogłem to zerkałem by dowiedzieć się co jest „na tapecie”), których wielu, jako smarkacz, nie rozumiałem. Pamiętam jednak, że były to publikacje z różnych dziedzin i nie należały do łatwych czytanek. Na potwierdzenie powyższych słów przytoczmy wypowiedź ks. Jana Małyska: „Był bardzo odczytany. Trzeba było być na bieżąco ze wszystkimi nowościami czytelniczymi, bo ksiądz Urbaczka pytał: *Co czytasz syneczku*”. Pamiętam również, że często przyjeżdżał do kościoła na rowerze (chyba koloru pomarańczowego) lub maluchem, którego często parkował niemal przy samych drzwiach zakrystii.

W męskich środowiskach są różne formy okazywania sobie sympatii. Ksiądz Jan nie nawiązywał z nami – ministrantami, jakiejś szczególnej relacji. Nie tarł się po czuprynach, nie dawał kuksańców w ramię, a także nie żartował. Raczej był cichy, a wypowiedzi były zdawkowe, bardziej „techniczne”, dotyczące spraw związanych ze służbą. Ale emanowała z niego dobroć i spokój tak ważne i pociągające w służbie ministranckiej.

Jeszcze jeden odprysk – liturgiczny. W moich wspomnieniach jest to kapłan, który odprawiał Mszę świętą według poborowych przepisów i rytu, ale w jego ruchach i gestach było wiele przeniesionych z czasów sprzed *Vaticanum II*. W jego postawie było swoiste dostojęstwo, płynność gestów i porządek w poszczególnych czynnościach liturgicznych.

Tyle osobistych wspomnień. Jaka była jego droga życiowa? I jak to się stało, że człowiek ze Śląska Cieszyńskiego związał się z Lublińcem na niemal całe życie?

Ks. Jan Urbaczka urodził się 14 stycznia 1915 roku w Puńcowie k. Cieszyna, w rodzinie Pawła i Anny z d. Kłoda. Po ukończeniu czwartej klasy Szkoły Ćwiczeń przy Państwowym



Foto: Archiwum WSSD Katowice

Seminarium Nauczycielskim w Cieszynie kontynuował naukę w Państwowym Gimnazjum im. Antoniego Osuchowskiego również w tym samym mieście. Do tej drugiej szkoły poszedł niejako w drugiej kolejności, gdyż w tym czasie zamierzał być kupcem. Jednak nie został przyjęty do cieszyńskiej „handlówki”. Jako gimnazjalista był m.in. członkiem Stowarzyszenia Młodzieży Katolickiej i co ważne był uczniem z celującymi ocenami. Egzamin maturalny zdał 1934 i jeszcze w tym samym roku wstąpił do Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie rozpoczynając jednocześnie studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Będąc na piątym roku studiów odkrył kolejne pole przyszłej działalności duszpasterskiej – praca z głuchoniemymi. Należał do pierwszej grupy alumnów, którzy w dniach 3–6 października 1938 roku uczestniczyli w kursie dla przyszłych duszpasterzy głuchoniemych organizowanym przez ks. Konrada Lubosa w Śląskim Zakładzie dla Głuchoniemych w Lublińcu. Była to nowoczesna placówka dydaktyczno-wychowawcza, w której w sposób zintegrowany zaopiekowano się dziećmi i młodzieżą głuchą. Zadaniem ks. Lubosa, nałożonym przez bpa Stanisława Adamskiego, było wskazanie wśród kursantów tych, którzy wykazywali największe predyspozycje i zapisał do tej formy duszpasterstwa. W pisemnym sprawozdaniu dla ordynariusza, ks. Lubos wskazał wśród 2–3 kursantów o najlepszych talentach m.in. kl. Jana Urbaczkę (niestety nie potrafię przytoczyć daty pisma, ale uwierz Drogi Czytelniku, że oryginał sprawozdania miałem w rękach, czytałem w Archiwum Archidiecezjalnym w Katowicach i nawet zrobiłem odpowiedni wypis, którego nie mogę odnaleźć wśród różnych papierów). Pamiętam, że wystawił mu bardzo dobrą cenzurkę.

25 czerwca 1939 roku przyjął święcenia kapłańskie w Katowicach z rąk bpa S. Adamskiego, a w kilka dni później, 29 czerwca, odprawił samodzielnie swoją pierwszą Mszę świętą. Wcześniej przedstawił i obronił na UJ pracę magisterską. Istnieją pewne rozbieżności co do tematyki, dziedziny teologii i tytułu magisterium. Można znaleźć dwa: *Historia nauczania religii głuchoniemych* oraz *Nauka Gwidona Terreny o nieomylności papieża* napisana pod kierunkiem ks. prof. Grzelaka wykładowcy teologii fundamentalnej. Bardziej prawdopodobny jest ten drugi tytuł, gdyż trudno sobie wyobrazić, aby student Urbaczka przedstawił solidne opracowanie niemal na finiszu studiów i w sytuacji, gdy duszpasterstwo osób głuchych było na początku swojej drogi.

Jak było wówczas w zwyczaju po święceniach, neoprezbiter zanim poszedł na swoją pierwszą placówkę wikariuszowską, przebywał kilka tygodni lub nawet miesięcy w rodzinnej parafii, gdzie obok odpoczynku u boku najbliższych, pomagał

Krzysztof Kanclerz • CD. NA STR. 7

w duszpasterstwie zastępując księży będących na urlopie. Podobnie było z ks. Urbaczką. Od dnia święceń do 31 października 1939 przebywał w rodzinnym Puńcowie, a od 1 listopada był wikarym w Trzyńcu na Zaolziu. Następnie, 1 czerwca 1940 roku, został substytutem w parafii św. Bartłomieja w Groźcu (obecnie powiat bielski w gminie Jasienica). Pomimo młodego wieku był skierowany przez biskupa do pracy w zastępstwie aresztowanego i osadzonego w obozie koncentracyjnym Mathausen-Gusen – proboszcza ks. Karola Masnego. Po wypuszczeniu proboszcza grodzieckiego i jego powrocie do parafii 16 października 1942, ks. Urbaczka został przeniesiony jako wikary do Istebnej, pełniąc jednocześnie obowiązki lokalisty w Koniakowie. W czasie wojny zmienił jeszcze raz miejsce pracy zostając ustanowionym 15 czerwca 1944 roku wikarym w parafii św. Apostołów Piotra i Pawła w Skoczowie.

Wojna i okupacja były dla młodego kapłana również czasem wykazania się wielką odwagą. Wszystkim wiadomo, że najmniejsze zaangażowanie się w ruch oporu lub pomoc Żydom, groziły więzienia, obozy i śmierć. Różne wspomnienia i opracowania podają, że niósł on pomoc duszpasterską partyzantom i ich rodzinom z okolic Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa. Przejawiało się to zwłaszcza w częstym słuchaniu ich spowiedzi w nocy. Dwie sprawy są ważne w tym kontekście. Pierwsza to zaświadczenie, które wystawili istebniańscy partyzanci 11 maja 1945, mówiące o niestrudzonej, ofiarnej pomocy duchowej i materialnej, której doświadczyli w Grupie Polskich Partyzantów w Istebnej. Dokument poświadczyl własnoręcznym podpisem komendant oddziału – dr Bohdan Soroka. Drugim faktem było uwięzienie ks. Urbaczki w niemieckim więzieniu. Niestety autor nie znalazł informacji na temat czasu i miejsca uwięzienia. Wzmianka ta ukazała się w „Gościu Niedzielnym” z 22 kwietnia 1945 w wykazie księży, którzy byli uwięzieni przez Niemców. Zestawiając zatem te informacje, w tym pewną lakoniczność drugiej, można przypuszczać, że jeszcze przed oficjalnym zakończeniem wojny ks. Urbaczka był już na wolności.

We wrześniu 1945 roku ponownie wrócił do Lublińca, do pracy, w której wedłóg ks. Lubosa miał szczególny uzdolnienia. Został katechetą w Państwowym Zakładzie dla Głuchoniemych i wikarym w parafii św. Mikołaja. Jak pisał ks. K. Lubos w „Śląskich Studiach Historyczno-Teologicznych” w tym czasie (przełom lat 40. i 50.), był on jedynym duszpasterzem dorosłych głuchoniemych w diecezji katowickiej, a ks. Urbaczka dla dzieci i młodzieży. Pomijając obiektywne trudności powojenne wynikające ze zniszczonej gospodarki i infrastruktury, Kościół zmagal się z ciągłymi trudnościami, a z czasem represjami ze strony komunistów. Trudności te spotkały również duszpasterza głuchoniemych z Lublińca, który ostatecznie 7 września 1953 roku był zmuszony zakończyć pracę w naszym mieście, otrzymując zwolnienie ze „służby państwowej”. Jak odnotował o. Franciszek Zawodny OMI, miał się on wyrazić, że już nigdy do Lublińca nie powróci. Należy jeszcze podkreślić, że pracując tutaj, mimo natłoku zajęć duszpasterskich, podwyższał swoje kwalifikacje. W 1947 roku ukończył roczne studia w Państwowym Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie wieńcząc je pracą pt. *Wychowanie religijno-moralne w Zakładzie dla Głuchoniemych*. Następnie otrzymał stopień doktora teologii na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie w 1951 roku obronił dysertację *Życie religijne i moralne głuchoniemych*. Na krótko przed wyjazdem z Lublińca, 15 kwietnia 1953 został mianowany rektorem kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Lublińcu, będącego wówczas kościołem filialnym parafii św. Mikołaja.

Zwolnienie nie oznaczało oczywiście bezrobocia i „braku pomysłu na osobę ks. Urbaczki”. Nabyte doświadczenie w pracy

z głuchoniemymi poparte dyplomami akademickimi i wreszcie potrzeba kontynuowania rozpoczętego dzieła zawiodły go do Katowic, gdzie wraz z ks. Lubosem rozpoczął jeszcze w 1953 roku miesięczne kursy dla osób zajmujących się duszpasterstwem i nauczaniem osób głuchych. Zajęcia odbywały się w Domu Prowincjalnym Sióstr Służebniczek w Panewnikach. W kursach brali udział księża, siostry zakonne i katecheci kierowani tu ze wszystkich diecezji Polski. Kursy trwały do 1960 roku, ale ks. Urbaczka uczestniczył w ich organizacji i pracach dydaktycznych do 1958 roku. Wycofanie się z pracy w kursach było zapewne podyktowane zaangażowaniem w parafii Wspomożenia Najświętszej Maryi Panny w Katowicach-Wełnowcu, gdzie od 13 września 1954 roku był administratorem, a w latach 1957–1975 proboszczem.

Duszpasterstwo parafialne i kursy dla pracujących z głuchoniemymi nie były jedynymi polami działalności. W ciemnych czasach komunizmu, gdy wypędzono katowickich biskupów z diecezji, na jej czele stał wikariusz kapitulny ks. Jan Piskorz. Ten współpracujący z władzami kapłan miał ambicję zwołania I Synodu Diecezji Katowickiej, a do Komisji Duszpasterskiej powołał ks. Urbaczkę. Nie wiemy jakie było jego nastawienie do tej nominacji, ale synod nie doszedł do skutku. W 1955 roku został wykładowcą katechetyki na kursie dla księży neoprezbiterów w Katowicach-Załężu, którego rektorem był były proboszcz lubliniecki, a późniejszy pierwszy biskup zielonogórsko-gorzowski ks. dr Wilhelm Pluta. Jako praktyk i teoretyk katechetyki otrzymał prawo wizytowania i hospitowania lekcji religii prowadzonych przez nowo wyświęconych księży. W 1958 roku, gdy religia na fali odwilży wróciła na kilka lat do szkół, został katechetą w Państwowej Szkole Podstawowej i Liceum Ogólnokształcącym nr 6 w Katowicach. Do wachlarza prac należy jeszcze dodać nominację na wicedziekana dekanatu Katowice-Północ, którą otrzymał w 1969 roku.

W 1975 roku zamierzał przejść na emeryturę, jednak jego podanie nie zostało przyjęte przez ordynariusza – bpa Herberta Bednorza. W zamian biskup mianował ks. Urbaczkę członkiem Zarządu i dyrektorem Księgarni św. Jacka w Katowicach i Ars Catholica – Warsztatów Sztuki Religijnej i Urzędzeń Kościelnych. Dodatkowo jego odczytanie i niewątpliwe kwalifikacje teologiczne były powodem nadania mu w 1978 roku uprawnień cenzora książek przy Wydziale Nauki Chrześcijańskiej Kurii Diecezjalnej w Katowicach.

W 1982 roku ks. Jan Urbaczka przeszedł na emeryturę. Nie pozostał w Katowicach, czy też nie powrócił w rodzinne cieszyńskie strony, ale zamieszkał w Lublińcu. Jak powiedziano wyżej był tutaj rezydentem przy parafii św. Mikołaja służąc niemal do końca życia aktywną pomocą. Gdyby swoją działalność ograniczył do duszpasterstwa i spokojnego spędzania czasu nie byłoby w tym nic dziwnego. Jednak jak się okazuje, śledząc chociażby zawartość bibliotek cyfrowych, sporo pisał zwłaszcza tekstów wspominkowych. Można je znaleźć w wielu wydaniach „Kalendarza Cieszyńskiego” rocznika o wieloletniej tradycji oraz „Naszej Trójwi” – dwumiesięcznika gminy Istebna. Sporządził również dwie teczki z istotnymi dokumentami natury historycznej parafii św. Mikołaja, z których miałem możliwość korzystać. Zaangażował się również w prace inicjujące powołanie do życia Towarzystwa im. św. Edyty Stein w Lublińcu.

Wyrazem docenienia pracy dla Kościoła katowickiego było nadanie ks. Janowi Urbaczce, przez metropolitę śląskiego abpa Damiana Zimonia, tytułu kanonika honorowego Kapituły Metropolitalnej w Katowicach.

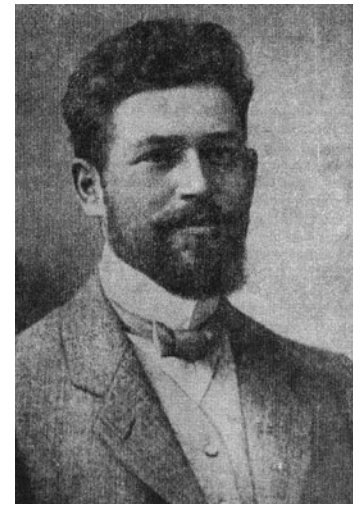
Ks. Urbaczka zmarł 24 kwietnia 2003 roku w Lublińcu, a rok wcześniej został sparaliżowany. Msza święta pogrzebowa z udziałem arcybiskupa katowickiego i wielu księży została odprawiona w Lublińcu, a 28 kwietnia złożono jego ciało na cmentarzu w Puńcowie.

Krzysztof Kanclerz

Tablice pamiątkowe Ziemi Lublinieckiej (VIII)



Maksymilian Rzeźniczek



Franciszek Willert

Banki Ludowe były polskimi instytucjami kredytowymi o charakterze spółdzielczym, powstałymi na przełomie XIX i XX wieku na ziemiach polskich leżących w państwie niemieckim. Zaczęto je zakładać w Wielkopolsce jako przejaw obrony Polaków przed germanizacją. Banki i podobne im instytucje nie miały charakteru zarobkowego – udzielały korzystnych kredytów i pożyczek przeznaczonych głównie na rozwój sklepów, przedsiębiorstw, gospodarstw rolnych, zakup mieszkania. Dzięki niskoprocentowanym źródłom dochodu następowało umocnienie gospodarcze społeczeństwa polskiego. Pierwszy taki bank na Górnym Śląsku powstał w 1895 roku w Bytomiu, a wkrótce po nim placówki takie założono w większości dużych ośrodków miejskich oraz w miastach powiatowych. Do 1921 roku środowiska polskie zorganizowały 17 takich instytucji. Bank Ludowy w Lublińcu utworzony został w 1909 roku, w okresie, gdy w polskiej prasie narodowo-demokratycznej zaczęto upowszechniać hasło „Swoj do Swego”. Pierwsza siedziba banku znajdowała się przy tzw. Małym Rynku. Już w państwie polskim została przeniesiona do kamienicy przy samym Rynku, gdzie dziś znajduje się pamiątkowa tablica. Inicjatorami jego założenia byli jedni z najważniejszych polskich działaczy w powiecie – lekarz, dr Franciszek oraz przedsiębiorca Maksymilian Rzeźniczek. Trzecim członkiem zarządu był rolnik z Jawornicy Piotr Drynda, a prezesem rady nadzorczej banku został inny działacz narodowy – ks. Paweł Rogowski. Obecność tych dwóch ostatnich osób zachęciła rolników z Lublińca i okolic do wstępowania w szeregi spółdzielni bankowej, co wiązało się z powodzeniem całego przedsięwzięcia: bank udzielał pożyczek tylko swoim członkom, ale pochodziły one z kapitału przez nich wnoszonego przy wstępowaniu w szeregi spółdzielni, zwykle w minimalnej wysokości 300 – 500 marek. Dlatego pozyskanie dużej liczby udziałowców gwarantowało dużą kwotę przeznaczoną na kredyty i pożyczki. W 1909 roku w szeregu banku wstąpiło 100 udziałowców, co pozwoliło na udzielenie pożyczek w wysokości 38 tys. marek. Dla porównania,

do założonego w 1903 roku Banku Ludowego w większym od Lublińca Koźlu (dziś Kędzierzyn-Koźle), przystąpiło tylko 45 udziałowców. W chwili przejęcia Lublińca przez państwo polskie w 1922 roku, udziałowców banku było już 490, a suma pożyczek sięgnęła prawie 2,5 mln marek. Początki działalności Banku Ludowego w Lublińcu wiązały się jednak z ogromnymi trudnościami ze strony państwa niemieckiego. Na członków zarządu nakładano rozmaite kary administracyjne i policyjne, a mieszkający w mieście Niemcy nie korzystali z prywatnych przedsięwzięć członków zarządu, co obniżało im zyski. Dodatkowym problemem była konieczność zatrudniania niemieckich rewidentów do kontroli banku. Sytuację poprawiła się nieco w 1914 roku, kiedy lubliniecki bank przystąpił do Związku Spółek Śląskich w Bytomiu. Instytucja ta nie mogła pełnić funkcji rewizyjnych, ale organizowała szkolenia dla członków zarządów Banków Ludowych i wspierała ich działalność. Polscy rewidenci pojawili się w Lublińcu z chwilą przystąpienia śląskich Banków Ludowych do Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych w Poznaniu, który uzyskał przed I wojną światową uprawnienia rewizyjne.

Banki Ludowe były nie tylko instytucjami finansowymi. Wokół nich skupiało się polskie życie narodowe: przeznaczały swoje środki na polskie stowarzyszenia społeczno-kulturalne, czytelnice, chóry, teatry, wspierały wydawanie polskiej prasy. Ich zasoby przydały się zwłaszcza w okresie plebiscytu i finansowania rozmaitych działań propagandowych. Nie inaczej było w Lublińcu. Wiceprezesem rady nadzorczej banku został Stanisław Breliński, polski komisarz plebiscytowy na powiat lubliniecki, a wokół banku skupili się polscy działacze oraz powstańcy. Dlatego w latach 1919–1921 pracownicy banku poddani zostali szykanom ze strony władz i bojówek niemieckich. Ks. Rogowski został dwukrotnie ciężko pobity. Podpalenie Banku Ludowego w Oleśnie spowodowało, że aktywa i dokumenty lublinieckiej

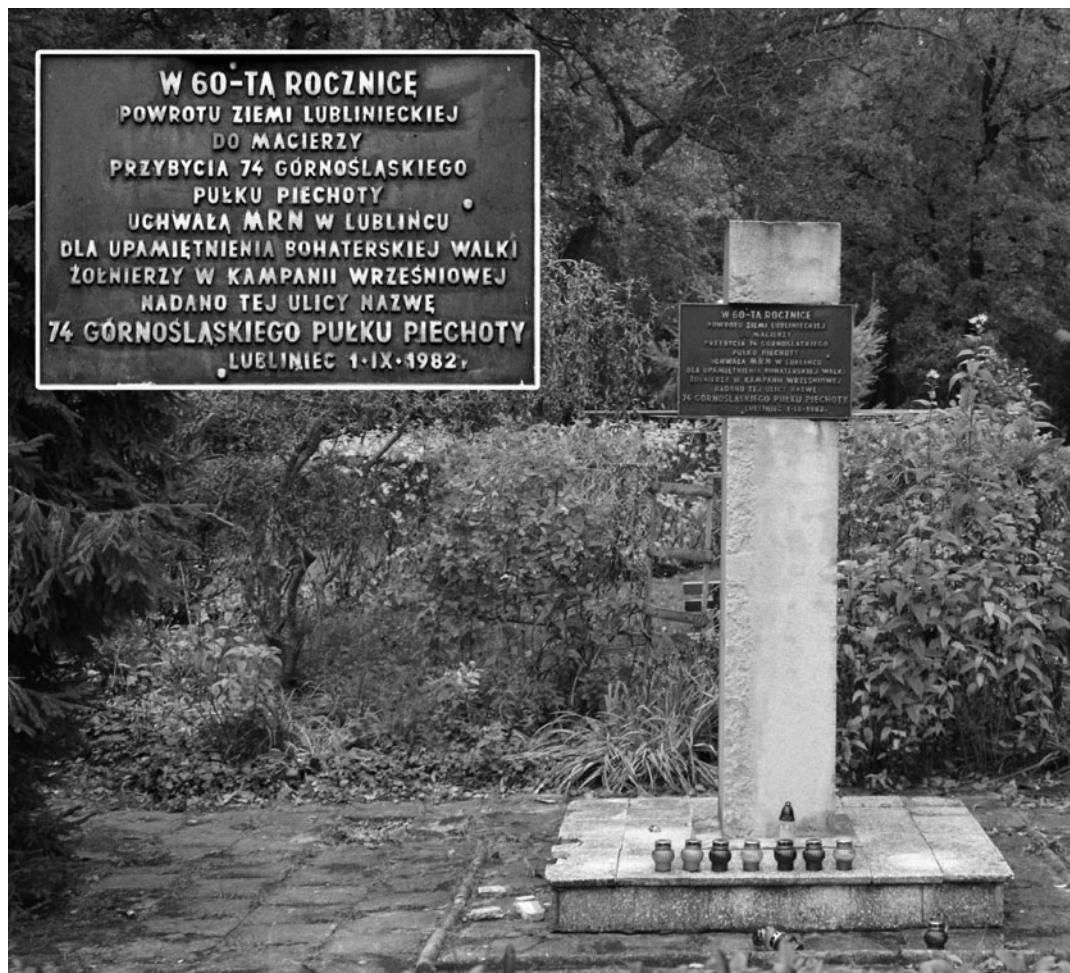
Sebastian Ziótek • CD. NA STR. 9

TABLICE... CD.

placówki zostały przeniesione do Częstochowy. Po przyznaniu Lublińca Polsce, w okresie znacznej inflacji w Niemczech, lubliniecki bank podjął się niebezpiecznej, ale korzystnej operacji finansowej, związanej z opuszczaniem przez Niemców miasta. Jak pisze badacz dziejów tej placówki, Marian Nowak: „ryzykownie, ale przy pełnym rozeznaniu ewentualnych skutków finansowych, bank wykupił z rąk niemieckich, a konkretnie od niemieckiej Spółki Budowlanej 8 domów, zaciągając na ten cel pożyczkę w wysokości 1 000 000 marek. W krótkim czasie domy te zostały odsprzedane polskim obywatelom, a zadłużenie zostało w terminie spłacone”. W podobny sposób wykupiono z rąk niemieckich także inne kamienice w mieście.

W państwie polskim bank działał nieprzerwanie do wybuchu wojny. Ciekawostką jest fakt, że drugi burmistrz miasta z lat 1926–1934, Feliks Orlicki, był w przeszłości dyrektorem Banku Ludowego w Gliwicach. W 1938 roku lubliniecki bank miał 693 udziałowców. W dniu 15 lipca 1939 roku uroczyście obchodzono jubileusz trzydziestolecia jego działalności. Instytucja wznowiła pracę w 1945 roku i działała pod dawną nazwą do 1950 roku, kiedy przekształcono ją w Gminną Kasę Spółdzielczą w Lublińcu.

Z okazji obchodzonej w 2017 roku 95. rocznicy wkroczenia do Lublińca 74 Pułku Piechoty, nazwanego później Górnośląskim, na lublinieckim rynku instruktorzy Hufca ZHP Lubliniec wraz z rekonstruktorami Stowarzyszenia Reduta Częstochowa, którzy nosili mundury wojskowe z tamtej epoki, wręczali mieszkańcom miasta replikę pamiątkowej odznaki oraz drukowaną relację z wkroczenia oddziałów polskich do Lublińca. W samym mieście imię tej jednostki wojskowej nosi ulica, przy której znajdują się koszary – niegdyś siedziba 74 GPP. Jej ustanowienie przypomina pamiątkowa tablica, znajdująca się u zbiegu ulic Grunwaldzkiej i nazwanej imieniem pułku, na zaniedbanym nieco skwerze znajdującym się przy placu Pawła Golasia – dowódcy powstań śląskich w powiecie lublinieckim, który witał jednostkę na naszej ziemi. Jej wkroczenie opisał urzędnik miejski Tomasz Ptak: „Do Lublińca wkroczył 74 pułk piechoty i oddział artylerii 23 pułku artylerii polowej dnia 26 czerwca 1922 r. witany w Herbach przez śp. starostę Niegolewskiego oraz tłumy ludności. Wstępującą graniczną przeciął porucznik rezerwy Golaś. W Lublińcu wojsko również witał śp. starosta Niegolewski oraz przedstawiciele



władz miejskich i niezliczone rzesze ludności. Marsz wojsk z Herbów do Lublińca był pochodem tryumfalnym w całym tego słowa znaczeniu. Po przybyciu wojsk do Lublińca odbyła się solenna msza połowa, po czym przyjmowano wojsko obiadem. Tutaj musimy wspomnieć o charakterystycznym wypadku ilustrującym postępowanie hunów niemieckich. Zaledwie właśnie wojska nasze zdołały się rozkwaterować, nagle, jak gdyby na dany sygnał zaczęły płonąć ze wszystkich stron lasy miejskie. Na upamiętnienie dnia wkroczenia wojsk polskich do naszego miasta miasto podarowało pułkowi z lasów miejskich teren pod plac sportowy”.

Jednostka w okresie międzywojennym brała czynny udział w życiu lublinieckiej społeczności. Jej orkiestra towarzyszyła niemal wszystkim uroczystościom państwowym w mieście. Pułk sam organizował również imprezy dostępne dla mieszkańców: Dni Morza, zawody sportowe, akademie, pokazy sztuki żołnierskiej. Żołnierze pułku byli delegowani do pracy w lublinieckich instytucjach: kierowali szkolną orkiestrą dzisiejszego Zespołu Szkół nr 1 im. A. Mickiewicza i prowadzili tam zajęcia z rysunku oraz zainicjowali powstanie drużyn harcerskich w mieście, do czego przyczynił się zwłaszcza ks. Jan Szymała, pułkowy kapelan. Corocznie w październiku z okazji święta pułkowego na lublinieckim rynku odprawiana była msza połowa. W 1932 roku jednostka zmieniła nazwę na 74 Górnośląski Pułk Piechoty. W 1939 roku żołnierze 74 GPP bronili ziemi lublinieckiej, zadając Niemcom ciężkie straty.

Sebastian Ziółek

Kochcice na kartach kroniki szkolnej – rok 1905

Rok 1905 przyniósł Kochcicom wielkie zmiany. W związku z tym, że w 1903 roku majątek został zakupiony przez hrabiego Franza von Ballestrem, zmienił się patron-kolator sprawujący opiekę nad szkołą. Został nim przedostatni syn Franza – Ludwig Karl, dotychczas porucznik pułku w Berlinie, który 28 marca 1905 roku objął majątek wraz z zamkiem.

Po ponad rocznych pertraktacjach w sprawie budowy nowej szkoły, 14 marca podjęto decyzję o jej rozpoczęciu przez mistrza budowlanego Schaera z Bytomia. Nowy czteroklasowy budynek szkolny miał powstać w miejscu, gdzie już wcześniej w latach 1780–1827 stała stara szkoła. Prace budowlane pod nadzorem inspektora budowlanego z Tarnowskich Gór rozpoczęły się przed Zielonymi Świątkami.

21 marca 35 dzieci, które osiągnęły wiek i uczęszczały do szkoły przez 8 lat zakończyły naukę szkolną. Troje ze słabymi wynikami zostało i powtarzało ostatni rok nadal w tej klasie.

1 kwietnia rozpoczął się nowy rok szkolny. Naukę podjęło 279 uczniów (kl. I – 66, kl. II – 78, kl. III – 84 i kl. IV – 51 osób). Święta Wielkanocne przypadły tego roku 22 kwietnia, z tego też powodu władze ogłosiły przerwę od 19 kwietnia do 2 maja.

Jako że 9 maja minęło 100 lat od śmierci wybitnego poety Fryderyka Schillera zarządono, aby uczcić ten dzień we wszystkich szkołach. Uroczystość rozpoczęła się odśpiewaniem pieśni, po czym nauczyciel – pan Ficner odczytał fragmenty powieści *Wilhelm Tell*. Książki Schillera z wierszami otrzymało w nagrodę sześcioro dzieci: Mazurek Anna, Krysch Paulina, Gambusch Agnieszka, Ledwon Jan, Drosdziok Franciszek i Opiela Paweł.

Wakacje na Zielone Świątki trwały od 8 do 15 czerwca, zaś wakacje letnie trwały 14 dni od 17 do 31 lipca.

Decyzją Zarządu Królewskiego w Opolu, 26 sierpnia nadzór nad szkołami w Kochcicach, Kochanowicach i Lisowie został przekazany księdzu proboszczowi Geringowi z Kochanowic. Wcześniej nadzór sprawował Sylvius von Aulock, a po jego śmierci w 1896 roku funkcję tę objął Nadzorca Powiatowy z Lublińca.

Jak co roku, 2 września uroczystość obchodzono rocznicę bitwy pod Sedanem z 1870 roku, kiedy to Prusy zwyciężyły francuskiego cesarza Napoleona III. Święto obchodzono uroczystość z modlitwą i śpiewami. Nauczyciel pan Walter wygłosił przemówienie o osiągnięciach państwa Niemieckiego, podsumował też wyniki i potrzeby szkoły.



5 września uroczystość otwarto nowy budynek szkolny. Gościem honorowym był starosta powiatowy dr von Thayer. Na rozpoczęcie dzieci zaśpiewały pieśń *Przybądź Duchu Stworzycielu* oraz odmówiły modlitwy z proboszczem Geringiem. Po pieśni *Wszystko na uwielbienie Boga*, głos zabrał nadleśniczy Schön, a po nim powiatowy inspektor szkolny pan Stephanblome. Przemowę wygłosił też dyrektora szkoły pan Pfitzner. W programie wiersze deklamowane przez uczniów (wśród nich *Chwała tobie księżę na niemieckim tronie*) przeplatane były pieśniami: *Dziękujcie Panu Bogu*, *Kiedy nas stworzono*, *Cesarzowi nasza pierwsza pieśń* i *Znacie ten kraj*. Przedstawiono też osiągnięcia szkolne kochcickich uczniów. Uroczystość trwała półtorej godziny, po niej był poczęstunek dla dzieci. Każde dziecko otrzymało kawałek ciasta, ciepły napój i zwykłe piwo, aby zaspokoić pragnienie. Potem przez dwie godziny dziewczęta grały w dwa ognie, a chłopcy w piłkę nożną. W uroczystości wziął udział zarząd szkoły i dużo miejscowej ludności.

Jesienią wakacje „kartoflane” trwały od 23 września do 23 października. Po przerwie III i IV klasa została umieszczona na parterze, zaś II i I w jednym pomieszczeniu. W nowej szkole znajdowała się piwnica na węgiel i drzewo, wyremontowano szopę i chlew, a szkolne podwórko wysypano żwirem. Po ukończeniu nowej szkoły planuje się sprzedać stary budynek i ławki. Postanowiono również, że nowe ławki zostaną nabyte w Dobrodzieniu.

Drugim nauczyciel pan Kroll został na własne życzenie przeniesiony do Hugo Hütte koło Tarnowskich Gór. Również trzeci nauczyciel pan Walter złożył podanie o przeniesienie

M.Koza • CD. NA STR. 11

KOHCICE NA KARTACH... CD.

do jednoklasowej szkoły w Kamięńskich Młynach, ponieważ były tam lepsze warunki mieszkaniowe i mógł do siebie zabrać swoją chora matkę, by się nią opiekować. Na nowej placówce został bardzo polubiony przez dzieci i dorosłych.

Na miejsce pana Krolla został powołany Karl Marie Ehrenderger z Liptin (Lubotyń) powiat Głubczyce, urodzony tamże 13 lipca 1886. Ukończył on seminarium w Głogówku w latach 1902–1905, i to było jego pierwsze miejsce pracy. Na miejsce pana Waltera powołany został Robert Strubel z Laswitz (Lasowice) powiat Grodków, urodzony 7 czerwca 1885. Seminarium ukończył w Głubczycach w latach 1902–5. Również dla niego było to pierwsze miejsce pracy.

Dyrektor Phitzner od 5 października do 9 grudnia prowadził kurs gospodarki rolnej i otrzymał za to wynagrodzenie w wysokości 155 marek.

5 listopada około 20.00 spalił się stodoła w polu przy drodze na Pawełki. Spłonęło tam około 500 wozów niewymłuczonego zboża.

29 listopada zmarł uczeń II klasy Jan Rodewald, w tym

samym dniu zmarł też uczeń III klasy Franciszek Gołek, oboje zostali pochowani 2 grudnia, a w pogrzebie wzięło udział bardzo dużo ludzi.

23 grudnia rozpoczęły się wakacje świąteczne. Tego dnia o godzinie 17.00 hrabia Ludwig Karl Ballestrem zaprosił do zamku dyrektora Phitznera i 22 uczniów. Każda dziewczynka otrzymywała w prezencie fartuch, książkę z bajkami, szal, orzechy i pierniki. Każdy chłopiec otrzymał koszulę wełnianą, szal, piórniki, orzechy i pierniki. Wszystko to trwało trzy ćwierci godziny. Tego roku przerwa świąteczna trwała do 3 stycznia.

Jak widać 1905 dla Kochcic był niezwykle owocnym rokiem. Nowo wybudowana szkoła z powodzeniem służyła kolejnym pokoleniom przez następne sto lat. Obecnie, budynek zaadaptowany na prywatne mieszkania, nadal przyciąga wzrok przechodniów swoim surowym pięknem i klasą.

Napisano na podstawie kroniki Szkoły Podstawowej w Kochcicach w tłumaczeniu pani Felicji Strzody, której niniejszym serdecznie dziękuję.

M. Koza

O edukacji regionalnej

Jednym z ważnych czynników, które zespalają emocjonalnie mieszkańców z ich regionem, jest społeczna wiedza o przeszłych i współczesnych dziejach tego regionu. Ta wiedza rodzi poczucie związku z ziemią naszych przodków i może być istotnym zaczynem naszej wspólnej odpowiedzialności za ten skrawek ziemi, na którym przypadło nam żyć.

W ostatnich dziesięcioleciach grono pasjonatów i badaczy historii regionalnej znacznie wzbogaciło wiedzę o dziejach Górnego Śląska, w tym również o dziejach Lublińca i poszczególnych zakątkach powiatu. Istnieje już wiele publikacji na ten temat. Niestety, jak pokazują niektóre fakty, wiedza społeczna o naszej „małej ojczyźnie” jest nadal dość słabo upowszechniona, a ten stan spowodował nie tylko zarysowujący się ogólny spadek czytelnictwa, ale złożyły się na to również inne przyczyny obiektywne.

W naszym powiecie jeszcze za mało dba się o szerszą promocję istniejących publikacji regionalnych oraz o wznawianie ich wydań. Także nie wykorzystuje się do tego lokalnej prasy. W niektórych gminach są, w sposób niewystarczający wyeksponowane wizualnie i opisowo zachowane obiekty zabytkowe i inne ślady przeszłości, a także ciekawe miejsca krajobrazowo-przyrodnicze. Nie wszędzie zadbano również o wyznaczenie i odpowiednie oznakowanie ścieżek pieszo-rowerowych, prowadzących do ciekawych miejsc i obiektów.

Jednak są wyjątki. Za dobry przykład może posłużyć Gmina Boronów, w której na przestrzeni ostatnich lat na stylowych tablicach, oznakowano i opisano wszystkie ważniejsze obiekty dziedzictwa historyczno-kulturowego i przyrodniczego. Ustawiono również mapy turystyczne obrazujące rozmieszczenie tych obiektów na terenie gminy.

Może warto by, wzorem Lublińca, Koszęcina czy Lisowic pokusić się w gminach o utworzenie muzeów lub izb pamięci.

Ważną rolę do spełnienia w tym zakresie mają też szkoły.

To przecież one są głównie predestynowane do tego, by edukować i wychowywać. Wprawdzie obowiązujące dotąd w szkołach programy nauczania (nieudane!), zredukowały historię i znikomo uwzględniają wychowanie regionalne, ale przecież wiadomo powszechnie, że efekty nauczania i kształcenia zależą głównie od nauczycieli. Ich pasji i znalezionej chwili do tego, aby u wychowanków rozwijać zainteresowania naszą „małą ojczyzną”, jej historią, zachowanym dziedzictwem kulturowym i przyrodniczym. Niestety, wychowanie regionalne w szkołach mogłoby być doskonalsze. Zwykle ogranicza się ono do organizowania jednego w ciągu roku szkolnego „Dnia Regionalnego”. Jeszcze zbyt rzadko urządzone są wycieczki szkolne i rajdy rowerowe do ciekawych miejsc na terenie naszego powiatu.

Od siedmiu lat Zespół Placówek Oświatowych w Olszynie, organizuje Międzygminny Konkurs Regionalny „Śląsk – jest takie miejsce na Ziemi”, w którym uczestnicy popisują się swoją wiedzą o Śląsku, a szczególnie o Ziemi Lublinieckiej. Honorowy patronat nad konkursem sprawują

Starosta Lubliniecki i Wójt Gminy Herby. Jednak, jak dotąd, uczestniczą w nim każdorazowo reprezentanci zaledwie z kilku szkół. Tak było też w kwietniu bieżącego roku. Do konkursu przystąpili jedynie uczniowie szkół z Herb, Kochanowic, Ciasnej i Olszyny. Wymowne jest też to, że tego odpowiedzialnego zadania, jakim jest organizacja konkursu powiatowego podjęła się jedna z najmniejszych szkół naszego powiatu.

Rada Powiatu, rady gminne, dyrekcje szkół i działające w powiecie stowarzyszenia społeczno-kulturalne powinny temu ważnemu zagadnieniu nadać większą rangę. Warto dołożyć wielorakich starań o to, by ta wiedza o ziemi naszych przodków była jeszcze bardziej dostępna i upowszechniona. Umiejmy też dobitniej pokazać wszystkie uroki naszej pięknej Ziemi Lublinieckiej oraz zachowane ślady jej bogatej przeszłości.

Damian Gołąbek

Zarys dziejów szkolnictwa w Harbułtowicach w latach 1947–1993



Uczniowie klasy III i IV porządkujący teren szkoły

Historia szkolnictwa na terenie Harbułtowic wiąże się z ówczesnym sołtysem, panem Józefem Kołaczuch. Jego staraniem, w latach 1947–1968 otwarto placówkę w części prywatnego budynku państwa Szulc. Pierwszym nauczycielem w latach 1947–1950 była pani Piórkowska. Następca przez okres dwóch lat był pan Kampa z Boronowa. W roku 1951 do wsi doprowadzono prąd elektryczny, co usprawniło pracę szkoły.

Kronika szkolna odnotowuje, iż w roku szkolnym 1961/1962 do klasy pierwszej przyjęto czterech uczniów.

Do klasy drugiej uczęszczało ośmioro dzieci. Klasa trzecia liczyła sześcioro uczniów, natomiast klasa czwarta ośmioro.

Dnia 11 lutego 1966 roku na terenie Harbułtowic zorganizowano zebranie mieszkańców, na którym podjęto decyzję o budowie w czynie społecznym nowej szkoły. Inspektor Oświaty mgr Kazimierz Zieliński wydał zgodę na budowę Domu Nauczyciela w Harbułtowicach według typowego planu KB-41. Kierownictwo budowy szkoły objął Alojzy Maroń, który dokonał zmian planu budowli w celu przystosowania parteru budynku do potrzeb szkolnych. Piętro budynku przeznaczono na mieszkanie nauczyciela.

Pierwsze prace przy budowie rozpoczęto 2 lipca 1968 roku. Cały budynek wzniesiono do 20 listopada 1968 roku przy dużym zaangażowaniu i wysiłku okolicznych mieszkańców. Z powodu mrozów nie wykończono mieszkań na piętrze, a prace te przełożono na okres letni 1969 roku. W nowym budynku szkolnym lekcje rozpoczęto 1 grudnia 1968 roku. Była to doniosła chwila dla dzieci jak i rodziców.

Od 1 września 1970 roku obowiązki kierownika Szkoły Podstawowej w Harbułtowicach przejęła pani Halina Wątroba, zastępując pana Alojzego Maroń po 12-letnim pobycie w tutejszej placówce.

Nauczycielka wraz z rodziną zamieszkała na piętrze budynku szkolnego. Natomiast pomieszczenia na parterze wykorzystywane przez uczniów w roku szkolnym 1970/1971 mieściły:

Mariusz Żymierski • CD. NA STR. 13

Dnia 2 lipca 1968, rozpoczęto pierwsze prace przy budowie. Łącząc wykop pod piwnicę. Wykop zakończono w czasie 4 dni tj. 5 lipca. Wykop ten wykonano o wymiarach 11x11m x 2,50m, przy pomocy firmarskiej Jarmydl (Siedliska Kamka, Polony Walenty, kójca Włóka, Symonadego Józefa, Sowy Włóka) który wyposażył Edward Tomaszewski

zawór, który zasypano na budowę. To wykonanie wykopu podpiwnicznego poprzedziły prace przy gromadzeniu materiałów budowlanych. Owarstwienie gruntu materiały transportuje do H. Maroń, która firma budowlana przy klatce kolejowej w Siedliskach kierowana przez technika H. Prokora się nie posiadała. W miejscu zgromadzonych materiałów zaczęto już prace murarskie, rozpoczęto wykopanie no piwnice i zabudowanie stop piwniczny. Prace te były wykonywane przez tegoż budowlę pod kierownictwem H. Maroń, który również murarstwo, sztal i betonował. W pracy tej uczestniczyli: Anielko Jan, 70 lat, Siedliska Józef, Duda Edward, Respondek Franciszek, Siedliska Hanna, Kocel Złara, Siedliska Emilia i Franciszek, Kociński Józef, Symonadego Józef, Sowa, Kóci, Skarpa Alfred, Sowa, Siedliska Agnieszka i Tygoc, Jędrzejewski, budowlę wykonano w ciągu 3 tygodni a całą budowlę ukończono do 20 listopada 1968. tj. w ciągu 4 i pół miesiąca. W tym czasie nie wykończono mieszkań na piętrze o pow. ok. 100 m². Według spełnienia budowlę ukończono na jesień 1968. Prace elektryczne wykonali kłb. Siedliska Sława wraz z Siedliska Konradem i młodzi złożyli słowne miasteczko Siedliska i zamieszkałymi w Siedliskach.

Fragmety kroniki szkolnej dotyczący prac budowlanych



Wycinek prasowy dotyczący pana Alojzego Maroń

ZARYS DZIEJÓW... CD.

klasa I – 6 uczniów, klasa II – 7 uczniów, klasa III – 2 uczniów, klasa IV – 6 uczniów. Uczniowie klas V–VIII z obwodu szkoły dojeżdżali autobusami do Szkoły Podstawowej w Sadowie.

Od roku szkolnego 1976/1977 szkoła w Harbułtowicach stanowiła Punkt Filialny Zbiorczej Szkoły Gminnej w Kochanowicach. Dyrektorem Gminnym był wówczas pan Remigiusz Chruściński.

W kronice szkolnej zapisano informację, że rok szkolny 1977/1978 jest ostatnim rokiem przed likwidacją placówki. Przyczyną likwidacji miała być zbyt mała ilość dzieci.

W tym też roku wykonano kapitalny remont dachu. W latach 1979–1982 nie odbywały się już żadne zajęcia w budynku. Pomieszczenia szkolne były sporadycznie wykorzystywane przez mieszkańców w celu organizacji zebrań oraz zabaw. Uczniowie klas I–III dojeżdżali do Punktu Filialnego w Droniowicach. Nauczycielka mieszkająca w Harbułtowicach objęła stanowisko kierownicze w Droniowicach.

W roku szkolnym 1982/1983 reaktywowano szkołę w Harbułtowicach z dziewięcioosobową klasą pierwszą. Inauguracja roku szkolnego odbyła się bardzo uroczyście. Uczniowie złożyli przyrzeczenie, a nauczycielka – pani Halina Wątroba wręczała upominki.

Rok szkolny 1983/1984 przynosi w historii placówki duże zmiany w postaci zatrudnienia drugiej nauczycielki. Była nią pani Jolanta Kałuża, która opuściła placówkę w 1985 roku z powodu małej ilości uczniów.

Na przełomie lutego i sierpnia 1984 roku w szkole przeprowadzono kapitalny remont.

Pomalowano sale, założono centralne ogrzewanie, jedno z pomieszczeń podzielono na dwie części, dzięki czemu uczniowie mogli podjąć naukę na jedną zmianę. Na zewnątrz przeprowadzono prace tynkarskie.

W roku szkolnym 1991/1992 kierownikiem Szkolnego Punktu Filialnego w Harbułtowicach została pani Ewa Konfederak. W kronice szkolnej wymienione jest jeszcze nazwisko nauczycielki pani Elżbiety Ulfik. Dalej czytamy, że w roku szkolnym 1992/1993 klasa II liczyła dziesięciu uczniów, którzy byli pod opieką pani Ewy Konfederak. Natomiast zerówką opiekowała się pani Aleksandra Brol.

Mariusz Żymierski



Pan Alojzy Maroń przy budynku szkolnym



Pierwsze zajęcia w nowej szkole



Uczniowie zerówki z wychowawczynią panią Aleksandrą Brol – rok 1993

Archiwów czar...

Niniejszy artykuł, pisany leniwie letnią porą, pozwalam sobie poświęcić na spopularyzowanie instytucji archiwów państwowych. Co to jest? Gdzie są najbliższe nam archiwa? Co można w nich odnaleźć? Co się tam robi? Celem byłoby tu zachęcenie, szczególnie młodych historyków lub amatorów historii, do korzystania z nieprzebranych bogactw tej instytucji. Zachował się tam świat odległy od naszego, ale przemawiający wciąż własnym głosem, ze swoimi problemami oraz wielkimi i małymi dylematami codziennego dnia. To ważne, ponieważ żyjący obecnie ludzie zawsze pozwalają sobie komentować życie i działania wymarłych generacji. W rzeczywistości nie mając pojęcia o tym, co było dla ludzi dawnych czasów ważne, istotne lub czym się konkretnie zajmowali. Gorzej, często nie zdajemy sobie sprawy z tego, że mówiono wówczas inaczej i innych używano pojęć do nazywania rzeczy! Nie mówiąc już o tym, że świat tych rzeczy, także był bardzo odmienny. Inny był tzw. kod kulturowy (znaczenie, jakie nieświadomie przypisujemy konkretnej rzeczy, sytuacji, zjawisku itp.) jakim w codziennym życiu się posługiwano. Im głębiej w przeszłość, tym różnice w równej mierze rosną. Tymczasem my, ciągle operujemy własnym kodem komentując dawne czasy. Zdarza się to i piszącemu te słowa. W archiwalnych zbiorach zachowały się ślady takich właśnie odległych kodów. Dzięki nim, dotykamy wręcz minionych spraw, postaci i ich problemów w formie właściwej ich czasom.

Archiwum dla historyka jest niczym cukiernia dla łasucha. W tym sensie, że jest to iście gargantuiczna instytucja jeśli chodzi o ilość i zasób dostępnych materiałów oraz ich różnorodność. Mamy tu wszystko, co świadczy o przeszłości. Są zbiory akt, listy, wspomnienia, książki, prasa, rysunki, stare mapy i plany. Wśród nich znajdują się prawdziwe perełki. Dzieła sztuki co się zowie! Niektóre ukryte w nieoczekiwanych wręcz miejscach. Dla przykładu prezentujemy dołączoną do artykułu rycinę drewnianego kościółka w Miasteczku Śląskim znajdującą się w zbiorze akt Powiatowego Urzędu Budownictwa Nadziemnego w Tarnowskich Górach (Archiwum Państwowe w Katowicach, zespół nr 1433, sygn. 106, s. 91). Instytucja ta swoim zasięgiem obejmowała też i powiat lubliniecki. Na cienkiej bibule o wymiarach ok. 20x20 cm podpisany, ale niestety niełatwy do identyfikacji autor, nakreślił tuszem sylwetkę kościółka. Być może nie jest to dzieło najwyższych lotów [nie znam się! – A.B.]. Jednak nawet ktoś pozbawiony umiejętności rysowania jest chyba w stanie zauważyć, że artysta (lub amator) przy pomocy wyłącznie kresek i linii, uchwycił nie tylko interesującą go budowlę, ale i zaznaczył elementy krajobrazu. Powstał nie tylko sympatyczny obrazek, ale i ślad po wrażliwości oraz umiejętnościach dawno nieżyjącego już rysownika (człowieka)!

Takie dokumenty zawierają mnóstwo innych informacji, a nią jest prawie wszystko. Historycy badają wygląd, wiek, zapisy na marginesie (często szczególnie trudne do odczytania), kontekst w jakim umieszczono konkretne dokumenty w określonym zbiorze, samą treść oczywiście i podpisy (o ile można je odczytać). Na kanwie takiego znaleziska, historyk pozyskuje zatem dodatkowe informacje. Na przykład w przypadku opisanej ryciny, co już zaznaczono, możliwe jest podjęcie próby identyfikacji autora. Z towarzyszącej ilustracji korespondencji dowiadujemy się jeszcze więcej. Obrazek ten powstał najpóźniej w marcu 1913 r. (data napisania

listu do którego go dołączono), na zamówienie urzędnika budowlanego (*Kreisbaumeister* – powiatowy mistrz budowlany) z Wałcza o nazwisku Westphal. Człowiek ten zamawiał szkic lub fotografię na potrzeby wykładu (referatu lub odczytu), który zamierzał wygłosić. Jednocześnie dowiadujemy się, że zamawiająca go osoba pracowała wiele lat na Górnym Śląsku. Są to poszlaki dla genealogów, poszukiwaczy lokalnych tajemnic i osób poszukujących odpowiedzi na wiele innych pytań (np. politykę kadrową urzędów budowlanych, ich działalność oraz dziesiątki, dziesiątki innych kwestii). Podano także w odpowiedzi na zapytanie Westphala, informację o wydrukowanym zbiorze obiektów, w którym można było odnaleźć interesujący go obrazek kościółka (Hans Lutsch *Bilderwerk Schlesischer Kunstdenkmäler. Mappe 1. Tafel 68*, Breslau, Kuratorium des Schlesischen Museums der Bildenden Künste, 1903). Rzeczywiście istnieje takie dzieło – sprawdza historyk. Dostępne jest nawet w bibliotece cyfrowej Politechniki Śląskiej. Niestety opublikowany na tym portalu egzemplarz pozbawiony jest interesującej nas w tym miejscu tablicy nr 68.

I tak dalej, i dalej można postępować z każdym nieomal źródłem historycznym. Rodzi się w ten sposób w człowieku coraz więcej i więcej zdumienia wobec przeszłości, jej bogactwa, różnorodności i specyficznego piękna (ale niestety rzadko takiego, za którym warto byłoby uporczywie tęsknić!). W końcu badacz znajduje się w sytuacji, gdy zauważa, że w głowie powstało mu więcej pytań i wątpliwości, aniżeli możliwości udzielenia odpowiedzi na nie! To winno owocować narastającym respektem, powagą i rezerwą w traktowaniu przeszłości. I warto się chyba zastanowić, czy nie jest to jeden z najważniejszych celów nauczania historii. Staje się ona rzeczywiście „odległym zwierciadłem” (tytuł klasycznego eseju historycznego B. Tuchman, w którym mamy okazję dostrzec te same dylematy i pytania bez mądrej odpowiedzi, jakie współczesny świat nam i dzisiaj stawia).

Wracając do kwestii naczelniej – zaznaczonej w poprzednich akapitach dotyczących przykładowej ilustracji z Miasteczka. Skomentowano bardzo krótko zawartość tylko czterech stron (s. 89–92) wybranego zbioru akt. A cały poszyt tych dokumentów liczy stron kilkaset!

Dla swego amatora, archiwa mają ofertę nie tyle nieograniczoną (bo jest akurat odwrotnie), ile nie do skonsumowania w ciągu życia. Stąd i odwołanie do Gargantui na wstępie. Co to oznacza? Aby sobie wyobrazić o czym tu mowa posłużę się paroma przykładami. Oto np. akta Rejencji Opolskiej, (prusko-niemieckiego odpowiednika współczesnego polskiego województwa, istniejącego w latach 1816–1945) w nie największym przecież archiwum w Opolu, obejmują ponad 192 000 jednostek archiwalnych. To ostatnie pojęcie oznaczać może dokument, księgę, poszyt (dawny odpowiednik segregatora biurowego), plik, wiązkę, teczkę, mapę, arkusz, rysunek, fotografię, a dla nowszych zbiorów, także krążek taśmy magnetofonowej lub filmowej, płytę gramofonową itp. Łącznie na półkach, ustawione w pionie akta samej tylko Rejencji Opolskiej obejmują ponad 900 metrów długości. Jest to odległość równa odcinkowi od kościoła w Stebłowie do „Jedenastki”! Z tego opracowano, czyli udostępnił historykom akta o długości ponad 600 metrów bieżących (ponad 44 tysiące jednostek). Dodatkowo akta te spisano w kilkunastu językach (choć dla ułatwienia – ponad 90%

Arkadiusz Baron • CD. NA STR. 15

ARCHIWÓW CZAR CD.

z nich jest w języku niemieckim). Inne znane mi kartoteki to np. akta Starostwa Powiatowego w Lublińcu z lat 1754–1922 w archiwum katowickim. Obejmują one ponad 1200 numerów i zajmują łączną długość blisko 30 metrów! Ciekawe ilu z nas ma domowe biblioteczki o najmniej, takiej łącznej długości wszystkich półek? Natomiast Akta Miasta Wrocławia z lat 1214–1945 (oczywiście w archiwum wrocławskim), to ponad 1,5 kilometra półek z aktami i liczbą 78 562 jednostek. Od biedy można byłoby przyjąć, że jedna jednostka aktowa zajmuje niecałe 2 cm półki archiwalnej! Ale to taka średnia mniej więcej jak ta, że gdy idziemy z psem na spacer, to łącznie mamy sześć nóg, czyli średnio każdy z nas ma trzy! Bo akta są różne – od jednej, dwóch kart, do blisko tysiąca na jeden tom. Tak, jak opisano powyżej, wyglądają zespoły akt, czyli zbiory dokumentów wytworzonych w przeszłości przez jeden podmiot (instytucja, osoba itp.). A jak rzecz wygląda w przypadku całości zbiorów archiwalnych?

Na podstawie dorocznego sprawozdania Dyrekcji Archiwów Państwowych wiadomo, że w Polsce same tylko archiwa państwowe posiadają 96 887 zespołów i zbiorów archiwalnych. Jest to 45 923 297 jednostek inwentarzowych. Łącznie stanowią one 337 101,50 metrów bieżących różnego typu materiałów archiwalnych, czyli zajęłyby one półkę o łącznej długości 337 kilometrów i 101,5 metra! Zasoby najważniejszego archiwum dla Lublińca – archiwum w Katowicach, to 22 kilometry bieżące akt! W Opolu 9 kilometrów. No i tak sobie historycy usiłują dać radę z tym ogromem informacji zawartych w przepastnych czeluściach archiwalnych magazynów. Można wręcz pójść o zakład, że większości z tego zasobu nie wykorzystano. Trafiamy często na akta prawdziwie „dziewicze”, czyli nigdy przez nikogo nieoglądane po ich złożeniu w archiwum. Lub, co sprawia szczególną frajdę – które samemu należy opracować (spisać kartę inwentaryzacyjną) zanim się do nich w ogóle zajrzy. Takich akt to nawet archiwiści nie tknęli poza ustawieniem na półce!

I na koniec o Lublińcu. Najbogatsze zbiory archiwalne dotyczące naszego regionu zawarte są we wspomnianym Archiwum Państwowym w Katowicach. Sporo materiału znajduje się w archiwach w Opolu i we Wrocławiu. Nieocenioną kopalnią są archiwa kościelne – parafialne, diecezjalne i archidiecezjalne. Akta wprost odnoszące się do naszego miasta np. Akta Miasta Lublińca z lat 1491–1945 w Katowicach liczą 1860 jednostek i mają pojemność ponad 36 MB. Podobnie jest z Dobrodzieniem. Do akt innych urzędów lublinieckich, takich jak wspomniane już Akta Starostwa Lublinieckiego,



Kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Miasteczku Śląskim. Świątynię zbudowano w 1666 roku, konsekrowano w 1670. Źródło: A.P. Katowice, Zespół: Urząd Budownictwa Nadziemnego w Tarnowskich Górach, nr 1433, sygn. 103, s. 91.

dochodzą także akta szkolne, policyjne, zakładów pracy, sądowe, adwokatów, notariuszy itp. Niektóre o ograniczonym dostępie, np. dokumenty dotyczące weryfikacji narodowościowej po II wojnie światowej.

Do średniowiecznych i wczesnonowożytnych dziejów naszego zakątka na Ziemi, [jak słyszałem – A.B.] duże znaczenie ma także archiwum w Opawie. Nie wiadomo nic [przynajmniej mnie osobiście – A.B.] na temat źródeł „z nami” związanych, a znajdujących się w archiwach w Pradze i Wiedniu. Ale długotrwałe związki naszej ziemi z koroną czeską i cesarstwem rzymskim dają podstawy, aby sądzić, że i tam „coś” można odnaleźć. Wielki jest zbiór danych znajdujący się w Berlinie (Archiwum Pruskiego Dziedzictwa Kulturowego) oraz Koblencki (Archiwum Związkowe). Dotyczy on czasów od połowy XVIII wieku do 1945 roku. Wiąże się to z przynależnością interesującego nas obszaru do Królestwa Prus (do 1918 r.) i Wolnego Państwa Pruskiego (1918–1933/1945). Dla badania dziejów dwudziestowiecznych, narastające znaczenie mają źródła zdeponowane w archiwach warszawskich. A to z oczywistego powodu zstania się Ziemi Lublinieckiej z Rzeczpospolitą Polską. Należy tu pamiętać, że w archiwach centralnych, np. w wymienionych stolicach, źródła lokalne nie będą raczej występować pod nazwą miejscowości, ale instytucji tych państw. Trzeba zatem najpierw wiedzieć, jaka sfera spraw nas interesuje i dopiero potem przeszukiwać odpowiedniej zespoły akt.

Warto przeglądać zasoby archiwów. Tam trwa fragment przeszłości w postaci nienaruszonej ingerencją potomnych.

Arkadiusz Baron

Annaberg.

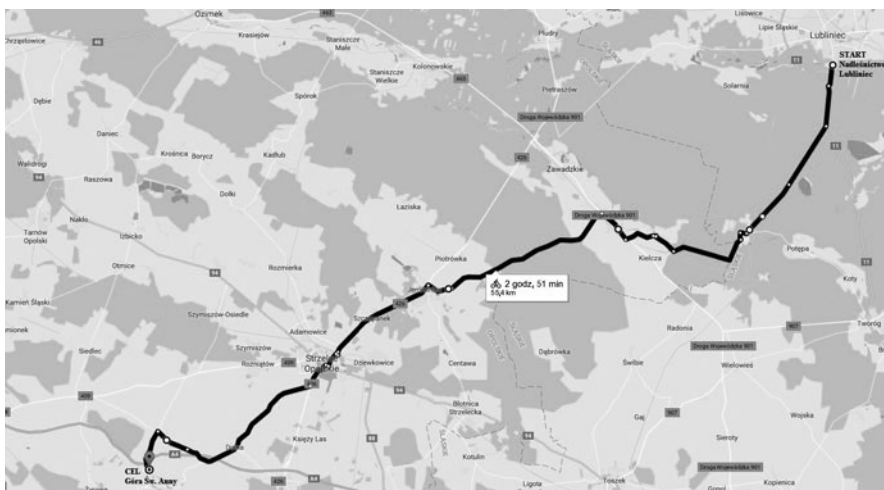
Wyprawa na świętą górę Ślązaków (cz. I)

Swoistą inspiracją do napisania niniejszego Sartykułu, relacjonującego wyprawę rowerową na Górę Świętej Anny, były słowa red. Jana Myrcika, wypowiedziane na spotkaniu kolegium redakcyjnego „Ziemi Lublinieckiej” w kwietniu 2016 roku, kiedy to miała miejsce uroczystość obchodów 15-lecia istnienia naszego magazynu. Jan Myrcik, wieloletni redaktor naczelny „Ziemi Lublinieckiej” mówił o tym, że ziemia lubliniecka to przecież nie tylko teren dzisiejszego powiatu, ale także część ziemi oleskiej, tarnogórskiej, strzeleckiej; iż te tereny przez wieki pozostawały w zażyłych i silnych relacjach, również administracyjnych¹, ale przede wszystkim duchowych, handlowych, rodzinnych czy turystycznych.

Tytuł artykułu, mówiący o Górze Świętej Anny jako o „świętej górze Ślązaków”, jest zapożyczony od Horsta Bienka², śląskiego dramaturga i powieściopisarza, który w ten sposób określił Annaberg w swojej książce *Podróż w krainę dzieciństwa. Spotkanie ze Śląskiem*. Obiektywnie należy wskazać, że dla mieszkańców naszych ziem Góra Świętej Anny jest, obok Piekar Śląskich i Jasnej Góry, najważniejszym miejscem pielgrzymek.

LUBLINIECKIMI LASAMI...

Jako punkt wyjścia opisywanej wyprawy przyjąłem parking przy Nadleśnictwie Lubliniec, na południowym krańcu miasta. Tutaj zaczyna się ścieżka rowerowa, przebiegająca wzdłuż drogi krajowej Nr 11 (ul. Pawła Stalmacha) i łącząca miasto z dzielnicami: Kokotkiem, Posmykiem, Leśnicą. Nie można pominąć w tym miejscu choćby krótkiej informacji o znajdującym się po drugiej stronie ul. Stalmacha Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym, wszechobecnym w życiu mieszkańców Lublińca od ponad 80 lat. Ośrodek budowany był w latach 1928–1935, przed wojną działał jako jednostka samorządowa „Śląski Zakład dla Głuchoniemych w Lublińcu”. Dziś jednostkę tworzą przedszkole, szkoła podstawowa, gimnazjum, szkoły ponadgimnazjalne oraz internat. Dodatkowo na terenie ośrodka znajduje



się infrastruktura sportowa. Patronem ośrodka jest Konrad Mańka (1915–1942), harcerz i działacz konspiracyjny, przed wojną zawodowo związany z ośrodkami, zamordowany przez hitlerowców w Katowicach w 1942 roku. Zainteresowanych historią i terażniejszością Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Lublińcu odsyłam do „Gazety Powiatowej Ziemia Lubliniecka”, Nr 3–5/2015³.



Budynek internatu na terenie Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Lublińcu. Stan z wiosny 2015 roku. Materiał pochodzi z archiwum Starostwa Powiatowego w Lublińcu

1 Do powiatu lublinieckiego (w latach 90-tych XX wieku do „rejonu” lublinieckiego) przez wiele lat przynależały gminy Dobrodzień i Kalety; po reformie administracyjnej, przeprowadzonej w 1999 roku, jednostki te zostały przyłączone odpowiednio do powiatu oleskiego oraz powiatu tarnogórskiego.

2 Horst Bienek pochodził z Gliwic, urodził się w 1930 roku; w 1945 roku, po zakończeniu działań wojennych opuścił Polskę i udał się do Niemiec. Tworzył w języku niemieckim, zmarł w 1990 roku w Monachium. W cytowanym w tekście dziele autora („Podróż w krainę dzieciństwa. Spotkanie ze Śląskiem”, które ukazało się w 1992 roku nakładem Wydawnictwa „Wokół Nas”) Bienek wspomina swoje młode lata na Śląsku, w Gliwicach, wskazując Górę Świętej Anny jako regionalną stolicę duchową ze swojego dzieciństwa. Należy także zaznaczyć, że mimo swojego niemieckiego pochodzenia, niepodważalne są związki Horsta Bienka z Lublińcem. Stąd pochodziła jego matka, to tutaj, w 1922 roku, jego rodzice brali ślub, a zaraz po przyłączeniu powiatu lublinieckiego do II Rzeczypospolitej przenieśli się do niemieckich wówczas Gliwic, skąd pochodził ojciec pisarza.

Wspomnianym szlakiem rowerowym kierujemy się w kierunku południowym, w stronę Kokotka. Należy wspomnieć, że na terenie gminy Lubliniec łącznie cykliści mają do dyspozycji około 120 km ścieżek rowerowych i pieszo-rowerowych. Ścieżki te przebiegają zarówno przez centrum miasta, wzdłuż wszystkich dróg wylotowych oraz przez tereny leśne, można mówić zatem o prawdziwym bogactwie tras rowerowych w Lublińcu. Trasa w kierunku Kokotka, mająca ok. 7 km od siedziby Nadleśnictwa, jest szczególnie popularna, nie tylko u cyklistów, ale także u osób uprawiających inne formy rekreacji (biegi, nordic walking), a przebiegająca pośród lasów, jest bezpiecznym połączeniem centrum z obrzeżami.

3 Gazeta Powiatowa Ziemia Lubliniecka, Nr 3–5/2015, s. 1–24.

ANNABERG CD.

Po przejechaniu ok. 3,5 km, należy przeciąć drogę krajową nr 11 i skręcić na drogę powiatową, w kierunku Krupskiego Młyna, znaną też jako „Krupówka”. Tą drogą kierujemy się w kierunku południowo-zachodnim, po przejechaniu ok. dwóch kilometrów jest sięgacz w lewo, jest to ścieżka prowadząca do ujęcia wody w Kokotku, które zaopatruje Lubliniec w wodę pitną, słynącą z doskonałej wręcz jakości. Około kilometra dalej, również w lewo, jest kolejny sięgacz w prawo, tym razem wykonany z kostki betonowej (tzw. „trylinka”). Jest to ścieżka prowadząca do dawnej stacji kolejowej Kokotek, która została zlikwidowana w latach 80-tych XX wieku, a ostatnie obiekty inżynieryjne (ruiny dwóch nastawni) zostały rozebrane podczas remontu linii kolejowej 152 Pyskowice – Lubliniec w 2012 roku. Linia ta została wybudowana po wojnie, w latach 50-tych minionego wieku i połączyła Lubliniec z Gliwicami. Od zawsze była to linia kolejowa o charakterze wyłącznie towarowym, stąd też zwana jest w lokalnym żargonie kolejarskim „Małą magistralą węglową” (lub „małą węglówką”), natomiast na przełomie lat 50-tych i 60-tych XX wieku kursowały tędy pociągi pasażerskie z Gliwic do Lublińca. Po wspomnianym remoncie kilka lat temu na linię wróciły pociągi pasażerskie o charakterze dalekobieżnym; w obecnym rozkładzie jazdy kursują tędy dwie pary takich składów, dzięki czemu Lubliniec ma bardzo szybkie połączenie z Gliwicami – czas jazdy ok. 45 minut. Remont linii nie przewidywał jednak odtworzenia infrastruktury pasażerskiej na dawnych stacjach i przystankach (Kokotek, Krupski Młyn, Czarków, Toszek Północny). W samym Kokotku nie ma obecnie śladu po peronach, budynkach czy choćby wiatach, które mogłyby świadczyć o tym, że była tu kiedyś stacja kolejowa. Warto w tym miejscu jeszcze wspomnieć, że nieopodal dawnego dworca w Kokotku znajduje się zbiornik wodny Piegża, znany też jako Kaczy Staw lub Kacze Jezioro, jeden z symboli lasów lublinieckich i Kokotka, tworzący ten wyjątkowy mikroklimat naszej ziemi. Obecnie obiekt ten jest stawem hodowlanym (podobnie jak nieco większy Posmyk).

Kierując się dalej drogą powiatową, dojeżdżamy, przejechawszy już ok. 12 km, do Krupskiego Młyna, siedziby gminy w powiecie tarnogórskim, aczkolwiek z historycznymi związkami z ziemią gliwicką i strzelecką, a dziś schowaną w lasach właśnie na styku czterech powiatów: lublinieckiego, gliwickiego, tarnogórskiego (woj. śląskie) i strzeleckiego w woj. opolskim. Początek dziejów Krupskiego Młyna to koniec XVII wieku, kiedy na Małej Panwi zaczyna działać potężny młyn,



Nastawnia przy dawnym dworcu w Kokotku. Stan z 2007 roku. Obecnie budynek nie istnieje, został rozebrany podczas remontu linii kolejowej Nr 152 Pyskowice – Lubliniec w 2012 roku. Fot. Zbigniew Chromik, dnia 16 marca 2007 roku

którego właścicielem jest Waław Krupa. Niecałe dwieście lat później, w latach 70-tych XIX wieku, na jego ruinach powstanie *Oberschlesische Aktien Gesellschaft für Fabrikation von Lignose Schiesswollfabrik für Armee und Marine* (Górnośląska Spółka Akcyjna do produkcji lignozy – wełny strzelniczej dla armii i marynarki). Jest to moment zwrotny w dziejach miejscowości, odtąd leśna osada zacznie się znacznie rozwijać. Krupski Młyn do końca II wojny światowej był administracyjnie związany z ziemią strzelecką, dopiero po otrzymaniu statusu osiedla, przeniesiono miejscowość do województwa katowickiego. Zakład w Krupskim Młynie, w którym przez dziesiątki lat znajdowali zatrudnienie mieszkańcy powiatu lublinieckiego, produkował materiały wybuchowe, materiały dla górnictwa, również tworzywa sztuczne⁴.

Charakter zakładu napisał także wiele czarnych scenariuszy; największy wybuch miał miejsce w roku 1917, pochłaniając 26 ludzi, raniąc prawie kolejnych 200 osób. Katastrofa zniszczyła całkowicie zakład, a także prawie całkowicie zabudowania wiejskie; o sile wybuchu świadczy fakt, że do uszkodzeń obiektów doszło nawet w Tarnowskich Górach i Bytomiu. Również o ostatnich latach dochodziło regularnie do zdarzeń i wypadków związanych z działalnością produkcyjną zakładu: w 2015 roku obyło się bez ofiar⁵, natomiast wybuch był słyszalny nawet w Lublińcu, w 2005 roku podczas wybuchu rany odniosło siedem osób⁶, a uszkodzone zostały liczne budynki poza zakładem. Tragiczny w skutkach był wypadek w 1993 roku, kiedy w wyniku wybuchu w bunkrze formowania i pakowania naboju dynamitu śmierć poniosło sześć osób.

Zakład w Krupskim Młynie, popularny też jako „Krupa”, niewątpliwie jednak przyczynił się do rozwoju samej miejscowości i okolicznych wsi: Potępy, Kotów, Ziętka, Żyłki. Na pewno też przyczynił się do otrzymania statusu gminy przez Krupski Młyn, co miało miejsce w 1991 roku. Z okresu rozkwitu miejscowości pochodzi przykładowo piękny most na Małej Panwi w kierunku Kielczy, przez który przejeżdżamy podczas naszej wyprawy⁷.

4 Tarnogórski Portal Edukacji Regionalnej „Indianer”, serwis Powiatu Tarnogórskiego, artykuł autorstwa Janusza Markowskiego pt. Z dziejów Krupskiego Młyna, http://www.tg.net.pl/indianer/==historia_36.htm, dostęp dnia 23 listopada 2016 roku.

5 <http://www.rmfm24.pl/fakty/polska/news-potezna-eksplozja-w-zakladzie-z-materialami-wybuchowymi-na-s,nId,942321>, dostęp dnia 23 listopada 2016 roku.

6 <https://www.wprost.pl/78923/Wybuch-w-Nitronie-akt1>, dostęp dnia 23 listopada 2016 roku.

7 <http://radio.opole.pl/342,130711,wybuch-w-fabryce-dynamitu->



Staw Piegża (Kacze Jezioro) w Kokotku. Fot. Zbigniew Chromik, dnia 13 maja 2007 roku



Most w Krupskim Młynie na Małej Panwi.
Fot. Zbigniew Chromik, dnia 19 lutego 2017 roku



Zakładowa lokomotywa 401Da-446 jadąca w kierunku Kielczy.
Fot. Andrzej Koza, dnia 11 lipca 2014 roku

PRZEZ ZIEMIĘ STRZELECKĄ...

Do Kielczy, przynależącej do powiatu strzeleckiego, dojeżdżamy drogą asfaltową od strony Krupskiego Młyna. Szlak jest słabo uczęszczany przez samochody, prowadzi kilka kilometrów przez szumiący las. Wzdłuż drogi widać linię kolejową, łączącą Kielczę przy linii Tarnowskie Góry – Fosowskie – Opole Główne z zakładem przemysłowym w Krupskim Młynie, o którym wspominałem powyżej. Kielcza to wieś w gminie Zawadzkie, przynależąca do 1945 roku do Niemiec. Liczy ok. 2000 mieszkańców, przez kilka lat po wojnie (do 1954 roku) była miejscowością gminną. Nazwa niemiecka Kielczy brzmi „Keltsch”, aczkolwiek przez okres hitlerowski używana była nazwa „Keilerswalde”⁸. Z Kielczą wiąże się postać Wincentego (zwanego Wincentym z Kielczy), pierwszego polskiego kompozytora znanego z imienia i nazwiska. Nie ma stuprocentowej pewności, iż Wincenty faktycznie pochodził z Kielczy, część badaczy twierdzi, pochodził on z Kielc. W swojej twórczości inspirował się św. Stanisławem – to jemu poświęcił sekwencje *Laeta mundas* i *Jesu Christe, rex superne* oraz najbardziej znany utwór – hymn *Gaude Mater Polonia* (*Raduj się, Matko Polsko*). Posługę duszpasterską Wincenty sprawował m.in.

w-krupskim-mlynie&s=8&si=8&sp=8, dostęp dnia 23 listopada 2016 roku.

8 Po dojściu do władzy w Niemczech Adolfa Hitlera, w drugiej połowie lat trzydziestych XX wieku rozpoczęła się na ziemiach przygranicznych szeroko zakrojona akcja „niemczenia”, a więc germanizowania nazw geograficznych brzmiących słowiańsko; w ten sposób na ziemi lublinieckiej Ciasną przemianowano na Teichwalde, Sieraków Śląski na Breitenmarkt, Panoszków na Hegersfelde, Pludry na Wildfurt itp.



Kościół Rzymskokatolickiej Parafii św. Bartłomieja w Kielczy.
Foto: Stowarzyszenie LGD „Kraina Dinozaurów” z/s w Ozimku

w Krakowie i w Raciborzu⁹. Na wjeździe do Kielczy dziś są umieszczone witacze informujące o najbardziej znanym synu miejscowości.

Obok postaci Wincentego, od późnego średniowiecza znakiem charakterystycznym Kielczy jest parafia, dziś będąca pod wezwaniem św. Bartłomieja; znane są dokumenty potwierdzające, że już w 1376 roku parafia istniała i wchodziła w skład archidiecezji toszeckiej (później dekanatu). Z dekanatem toszeckim w diecezji wrocławskiej parafia w Kielczy była związana długo, aż do okresu międzywojennego. W 1926 roku parafię włączono do dekanatu dobrodzieńskiego, po wojnie, do dnia dzisiejszego, parafia przynależy do dekanatu Zawadzkie (diecezja opolska)¹⁰. Na przełomie XIX i XX wieku proboszczem parafii w Kielczy był ks. Józef Wajda, budowniczy kościoła w pobliskich Żędowicach.

W pobliżu kościoła znajduje się zabytkowa, drewniana chata, której wiek określa się w przybliżeniu na 150–175 lat. Z przekazów wynika, że mogła w niej istnieć plebania, inne źródła mówią o budynku, że był on przeznaczony na lecznicę, pojawia się też opinia, iż mieściła się tutaj szkoła. Jest najstarszym obiektem w gminie Zawadzkie, wpisanym do rejestru zabytków i dziś stanowi własność Muzeum Wsi Opolskiej (z siedzibą w Bierkowicach).

9 Strona internetowa poświęcona Wincentemu z Kielczy – <http://culture.pl/pl/tworca/wincenty-z-kielczy>, dostęp dnia 12 stycznia 2017 roku

10 Strona internetowa Rzymskokatolickiej Parafii św. Bartłomieja w Kielczy, zakładka Historia kościoła i parafii, <http://www.parafia.kielcza.pl/node/2>, dostęp dnia 12 stycznia 2017 roku

CD. W NASTĘPNYM NUMERZE



Zabytkowa drewniana chata w Kielczy.
Fot. Paweł Klimek, dnia 5 lutego 2017 roku

Jak to było na obozie harcerskim

OBÓZ W MIĘDZYDROJACH:

„kucharzu, kuchcik się topi...”

Rozpoczął się on dokładnie 28 VI 1948 roku. Dla Hufca ZHP Lubliniec zostały zamówione dodatkowe wagony i podczepieni do pociągu towarowego załadowaliśmy swoje przygotowane sienniki i sprzęt.

Po dwóch dniach dotarliśmy na miejsce i w pobliżu plaży rozbiliśmy swoje namioty. Nasz obóz był podzielony na kilka podobozów, gdzie każdy odrębnie prowadził samodzielne zajęcia – w tym własną kuchnię. Dyżurny zastęp zbierał suche patyki na ogniska. Pomocny był też proch z amunicji, który został z zapasów (doskonale służył nam za rozpałkę). Jako kucharz, miałem do wyżywienia 40 harcerzy, a do pomocy byli przydzielani dyżurni, młodzi harcerze zwani „kuchcikami”.

Pewnego dnia jak zwykle po obiedzie, „kuchcikowie” poszli myć garnki nad morze. Nastawała wtedy zbawienna cisza i spokój, kiedy można było odetchnąć i w spokoju pomyśleć co przyszykować na kolację. Jednak nie tym razem... Nagle przybiegł do mnie jeden z tych urwipółciów i woła: „kucharzu, kuchcik się topi!”. Zerwaliśmy się zatem na równe nogi w komendzie, złapaliśmy kawałek liny i biegliśmy czym prędzej na plażę. Na miejscu okazało się, że jeden z „kuchcików” myjąc duży kocioł (dawny bęben wojskowy, aluminiowy) wpadł na „genialny” pomysł użycia go jako łódki! Wsiadł do środka i mając w ręce dużą warzechę (wystruganą z deski) zaczął wiosłować kręcąc się w miejscu. Niedoszły żeglarz nie spostrzegł się jednak, że fala znosi go na otwarte morze. Kiedy pozostali zorientowali się co się dzieje, wystraszone

psotnik był już daleko od brzegu. Chcąc nie chcąc trzeba było i to z pełnym żołądkiem, płynąć po nieszczęśnika. Odległość około 40 m pokonaliśmy szybko i po umocowaniu linki ściągnęliśmy kocioł z przerażonym „kuchcikiem” skulonym na dnie kotła, do brzegu.

Tym razem „ten” incydent zakończył się szczęśliwie. Ale odtąd za „kuchcikami” wysyłaliśmy nad morze kogoś starszego (i rozsądnego) do pilnowania, aby w czasie mycia garnków żadnemu „spryciarzowi” nie zachciało się znów wybrać na morskie wojaże w kotle po zupie.

„kucharzu, gotuj pierogi...”

Pewnego razu ktoś rzucił pomysł, aby nazbierać jagód i ugotować na obiad pierogi. Łatwo powiedzieć trudniej wykonać. Drużyna poszła w las i po trzech godzinach każdy przyniósł pełną menażkę świeżych jagód – a ja w tym czasie wyrobiłem ciasto na ok. 120 pierogów.

Rozpocząłem wałkowanie ciasta i z pomocą „kuchcików” narobiliśmy pierogów wielkości sporej dłoni. Gdy były już gotowe, okazało się, że przed kotłem ustawiła się spora kolejka „smakoszy”. Pierogów starczyło po trzy na pierwszy rzut. Zasmakowało wszystkim i kolejka ustawiła się ponownie. Na drugi rzut wrzucałem już po dwa, ale apetyt nie malał, a zostało jeszcze trochę jagód. Umęczeni ugnietliśmy ciasto na resztę i dla wytrwałych wydaliśmy jeszcze po jednym pierogu.

W sumie, obiad trwał ponad trzy godziny, ale wszyscy byli syci i zadowoleni. Jedyne My – nieboraki z kuchni, mieliśmy dosyć pierogów do końca obozu. I tak, obóz trwał do 31 VII 1948 r.

Kazimierz Bromer

Aromaty Górnego Śląska (cz. III)

KAJ TYN KARUZEL?

Jak łon psziszol? Po jakimym znojd sie tukej we Pszowie? Łosprawioł Antek kamratom we szynku... Ano Alojz, co mioł tyn giszteft we Wodzisławiu, pocionk ku Raciborzu. Tam se znojt swoja BONANZA.

Ja, ja godali iże to tako żyła złota. Dyć Alojz naszoł inak-szo żyła. Wyunaczył richtik srogi giszteft. Nie byda prawiył, co łon tam mioł. Tak czy inak tyn KARUZEL, co go mioł wedle rynku richtik go hamowoł. Chcioł go skalić za poła cyny, byle gibko, terozki i fertik. Padoł nom to Bercik co ski unego pszic-ionk. To jo z Kusztantym na motur i zaroski my tam wypa-rzili. Nu i klapło. Ugodali my s Alojzym na tiszta marek i tak co my tyn KARUZEL sami pszikludzimy ku Pszowu. Szparko my się z unym uwinyli. Zaś moja kobiyta wyszikowała richtik szykowny plan. Co i kaj mo być? Tak, co by szycko wyunaczyć, a KARUZEL nie stoł we kałużach, ino się kryncił i tysz zarobieł nie ino na sia, a tysz na nos szyjskiech. Richart wyszykuje takie łogrodzynie ze skrajków tartacznych na hajnrichowym. Neszka bydzie stoła z lodami. Kusztant wyunaczy wata cukro-wo. Taki srogie białe kule. A dyć na łune dzieciska bydom się cisnąć. Łot Lojski ze sklepika ciastecka, piernicki i taki rozto-mańte une. Mechanikowoł pszi motorze łot karuzela bydzie Bercik. Dyć łon mo czesko „Jawa” tiszta piyńćdziesiont i zno

się na motorach. Bydzie to szycko sztelowało bez cołki tydzień kole rynku we Pszowie na tym bałplacu u Gerarda. A już we so-bota i niedziela cołki familije ze Pszowa, Dołów, Ksziszkowic i inkszych Wiela, bydom ciągnąć ku KARUZELOWI. Dzieci-ska bydom się radować, a z nimi i starzi i młodzi. Tyn bał-plac u Gerarda ugadali my za niewiela. Dyć na unym nic nie robieli i stoł we kałużach. Teroski my to utwardzili i wysziko-wali jak się patszi. Ja i sztykowoł... Jedyn rok, dwa roki. By-ło piyknie. Ludziska się ciśli ku nom. Radunku było wiela. Aż na trzeci rok latym, psziszol taki pierzińsko srogi wiatyr. Go-dali na unego HURAGAN. Inksi iże to TRĄBA POWIETRZNO. Nie dosyć, iże szyckie budy ze karuzeliska łobaliło, to som KARUZEL pot. A i motur co unego kryncił się łozlecioł. Kiej-by Antek z Kamratami wros się wzieni, to szycko łunako po-stawić i wyszikować, to i Lojska na łune sypla by marek. Kiej ta pierzińsko TROMBA sła nade Pszowym, to Antek siedzioł z Kamratami we szynku. Teroski tysz siedzioł i z unymi go-dali, godali jako to wyunaczyć to szyjsko po tyj srogiy burzi. Prawieli, godali, a roboty nie chycił sie żodyn... A potym, by-ło już po szyjskim. Plaĩa i fertik. Teroski po latach godajom ludziska we Pszowie i naokoło iże ja, był we Pszowie szykow-ny piykny KARUZEL, a i cołki kole miygo WESOŁY BAŁPLAC. Ja był, a dyć Antek pszegiboł go we szynku.

Stanisław Zoń

III Powiatowy Konkurs Jednego Wiersza rozstrzygnięty!

3 IV 2017 Gimnazjum w Pawonkowie gościło uczestników III Powiatowego Konkursu Jednego Wiersza, zorganizowanego przez Lubliniecki Klub Literacki LOGOS i Wydawnictwo św. Macieja Apostoła z okazji Roku św. Brata Alberta pod hasłem „Być dobrym jak chleb”. Od pierwszej edycji w 2014 roku konkurs odbywa się pod patronatem magazynu społeczno-kulturalnego „Ziemia Lubliniecka”.

Konkurs otworzył Edward Przebieracz – pomysłodawca konkursu, prezes LKL LOGOS i dyrektor Wydawnictwa św. Macieja Apostoła, który przeczytał swój wiersz pt. *Brat Albert*. Po powitaniu uczestników i publiczności. Jury konkursowe w składzie: Jolanta Mlynek, Grzegorz Kopiec i Edward Przebieracz, (FOTO – w załączeniu) oddało głos, a raczej scenę, młodym artystom: Darii Wańczyk, Joannie Skubała, Dorocie Wańczyk, Magdzie Stemarowicz, Kindze Szymańskiej, które wspomagał Klaudiusz Blewaska. Bardzo dziękujemy artystkom, które zaprezentowały się ponownie w czasie obrad jury, jak też specjalne podziękowanie za cudowną muzykę kierujemy na ręce pana Andrzeja Stupin-skiego. Następnie świadectwo o ofiarowaniu bochna chleba nowożeńcom, przedstawił Sylwin Behcicki. I zaczęły się boje poetyckie, najpierw swoje wiersze zaprezentowało 6 uczniów klas IV–VI szkoły podstawowej, następnie wystąpiła kolejna 6 – tym razem gimnazjalistów, 2 uczennice szkół ponadgimnazjalnych i na końcu 9 dorosłych. Łącznie więc w III KJW udział wzięło 23 poetów z Kośmider, Lisowic, Lubecka, Pawełek, Taniny, Pawonkowa, Kochanowic i Lublińca. Jury prawie jednomyślnie podjęło decyzję o przyznaniu wyróżnień i nagrody głównej w poszczególnych kategoriach. Nieco dłużej dyskutowało odnośnie przyznania *Grand Prix* konkursu za najlepszy wiersz w kategorii *open* – pucharu z wygrawerowanymi danymi konkursu. Prezentujemy laureatów konkursu, którzy w prezencie otrzymali ufundowane przez Wydawnictwo św. Macieja Apostoła dyplomy, książki, pocztówkę lubliniecką, a zwycięzcy w poszczególnej kategorii dodatkowo nagrodę w wysokości 100 zł.



Jury: Jolanta Mlynek, Grzegorz Kopiec i Edward Przebieracz

W KATEGORII SZKOŁA PODSTAWOWA (KL. IV–VI) WYRÓŻNIENIA OTRZYMALI:

- MATEUSZ NACZYŃSKI – kl. VI, Szkoła Podstawowa nr 1, Lubliniec
- NATALIA OLSZOK – kl. VI, Szkoła Podstawowa w Kośmidrach
- KLAUDIA SLEZIONA – Szkoła Podstawowa w Lisowicach

NAGRODA GŁÓWNA:

- ISMENA KOMPALKA – kl. VI, Szkoła Podstawowa nr 1, Lubliniec

Wszystko w Twoich rękach

Ten wie, jak smakuje głód,
co niesie krzyż przez życie i doznał chłód,
bo tylko prawdziwą wartość chleba
znają ludzie, którym go potrzeba.
Ty bracie nie odwróciłeś się od nikogo,
bo sam przez życie szedłeś ubogo,
sztuka była Twoim natchnieniem,
lecz Polska ziemia Twym przeznaczeniem.
Och, Albercie, jak przedziwna była Twoja droga,
pokorne serce dostałeś od Boga.
Promyczkami wiary trzymał Cię za rękę,
byś nie zwątpił w dobro, przechodząc przez mękę.
Tylko Ty bracie powierzyłeś siebie,
jak największą tajemnicę w niebie,
stałeś się Bożym posłannikiem bliźniego
dla sierot, starców i człowieka chorego.
Choć pędzel swój porzuciłeś,
biednym drzwi otworzyłeś
do skromnego, ale dachu nad głową,
przytuliska ciepłego i talerza pełnego.
Zamykasz oczy i spoglądasz w niebo,
widzisz swój obraz, a w nim siebie samego,
serce Twe świeci niczym gwiazda złota,
nadzieję w Tobie widziała biedota.
I nagle obraz się zmienia,
wokół nas jest dużo cierpienia,
pomagajmy i nie lękajmy się wtedy,
bo dzień ma dość swojej biedy.

Współpracownik Wydawnictwa św. Macieja Apostoła, literat Witold Łukasiak zamieszkały w Melbourne (Australia), ufundował dla najmłodszego uczestnika konkursu oryginalną nagrodę – banknot o wartości dwudziestu dolarów. Nagrodę ta powędrowała do uczennicy kl. IV Szkoły Podstawowej w Lublińcu Hanny Polewczyk.

W KATEGORII GIMNAZJUM WYRÓŻNIENIA OTRZYMALI:

- BŁAŻEJ PLOSKA – kl. II, Gimnazjum w Lubecku
- ANNA PIETREK – kl. II, Gimnazjum w Lubecku
- MICHAŁ WALTER – kl. II, Gimnazjum w Kochanowicach

Edward Przebieracz • CD. NA STR. 21

III POWIATOWY KONKURS CD.

NAGRODA GŁÓWNA:

- **PATRYCJA KUBICA** – kl. I, Gimnazjum w Pawonkowie

Przepis na chleb

Piekarzem ja,
kuchnią moje życie;
przedstawię wam przepis na dobre jak chleb bycie.

Wzięłam mąkę i prawdę,
wymieszałam z wiarą dobrocią i szczerością.
Dolałam wody;
dodałam cierpliwości, miłosierdzia i pokory,
a także miłości kawał spory.

Wszystko ugniotłam należycie,
bo cały czas kontroluję swoje życie.
Ciasto do piekarnika schowałam.
I na końcu, gdy chleb się upiekł,
swą modlitwę wyszeptalam:

„Święty Bracie Albercie,
naucz mnie ciebie naśladować,
być dobrym jak chleb,
niczego ludziom nie żałować;
bym nigdy innym przykości nie sprawiała,
a swą dobrocią i miłością
świat zmieniała!”.

W KATEGORII SZKOŁY PONADGIMNAZJALNE WYRÓŻNIENIE OTRZYMAŁA:

- **KAMILA DYMAREK** – kl. II, LO im. Mickiewicza, Lubliniec

NAGRODA GŁÓWNA:

- **AGATA SOWA** – kl. I liceum, ZSOT, Lubliniec

Szukając dobra

Byłam głupia w swej mądrości
Pewna w niepewności życia
Radosna w mroku
Błaha wśród problemów świata
Żywa w martwym punkcie
Nieszczercze dobra
Szczersze zagubiona
Kłamiąca we własnym lustrze
Żywym oczom w ich odbicie
Pewna, że tak musi być, że tak spełniają się marzenia.
Licząc na obłudę świata
Szukając światła
Dobra czystego
Nierozumnego
Bo jak to tak za darmo bezinteresownie

I znalazłam w rękach twoich
Mamo
Miłość czystą
Dobro samo
Drzemiące w twych łagodnych dłoniach głaszczących
moje włosy
W oczach dodających mi odwagi
W ustach wypowiadających najpiękniejsze słowa świata
Kocham cię, kocham moja mała

W KATEGORII DOROŚLI WYRÓŻNIENIA OTRZYMALI:

- **TERESA MACHNIK**, Lubliniec
- **LUCYNA SPACZYŃSKA**, Lubliniec
- **MARIA DZIUK**, Kochanowice
- **MIROSLAW GÓRECKI**, Pawełki
- **SYLWIN BEHCICKI**, Lubliniec

NAGRODA GŁÓWNA:

- **SYLWIA JASKÓŁA**, Lisowice

bądź dobra jak chleb

serce schowane w chlebowniku
bardzo szczelnym za 200 złotych
tak w zaokrągleniu
podobno trzyma świeżość długie tygodnie
poleciła mi go przyjaciółka po tym
jak w starym chlebie jej szczerstwiało
po jednej chłodnej nocy

–zrezygnowałam z jedzenia chleba
dietetyczka twierdzi że tuczy
sól też niewskazana bo podnosi ciśnienie
efekty diety widać od razu
teraz te suki mogą przede mną drzeć
stwierdziła

w zmęczeniu poszukiwania sensu
wracam do domu
wita mnie jak zwykle ciepłe oblicze babci
całuję ją w czoło
a potem odwracam to zdjęcie i czytam jej serce
posól sobą ziemię
dziel się sercem jak dobrym chlebem.

Właśnie ten wiersz został przez jury wskazany jako utwór nr 1 w konkursie. Sylwia Jaskóła ponownie zaprezentowała, w ciekawej aranżacji scenicznej, swój utwór, po czym cieszyła się z otrzymanego okolicznościowego pucharu.

W imieniu wszystkich uczestników konkursu bardzo dziękujemy za smaczne ciasta, za pomoc i wsparcie dyrektorowi Gimnazjum w Pawonkowie – Krzysztofowi Kłobusowi, za dopiętą na ostatni guzik organizację imprezy paniom: Katarzynie Szremskiej, Katarzynie Kubicy, Dagmarze Raida, a szczególnie Katarzynie Respondek – za piękną dekorację.

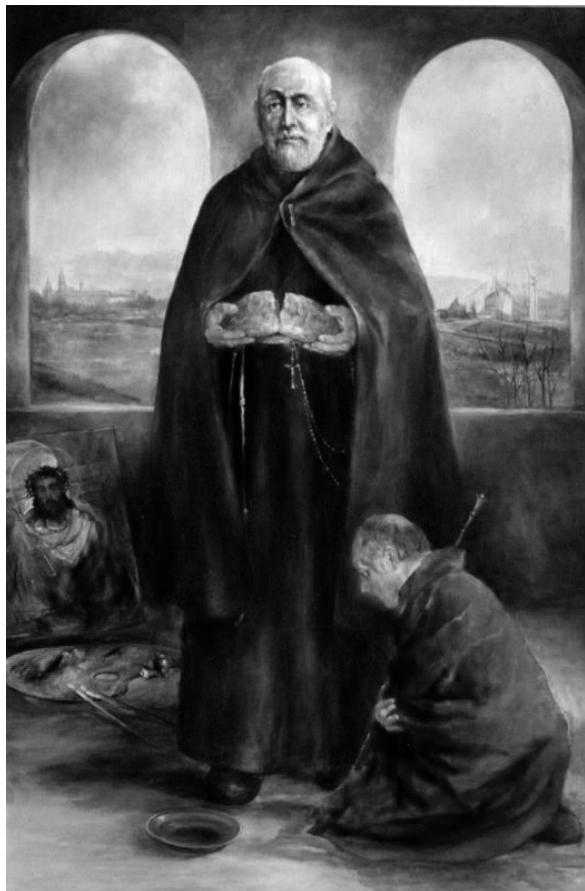
Do zobaczenia w przyszłym roku na IV Powiatowym Konkursie Jednego Wiersza!

Edward Przebieracz



Członkowie Lublinieckiego Klubu Literackiego LOGOS

Rok 2017 Rokiem Świętego Brata Alberta (Adama Chmielowskiego 1845–1916)



BRAT ALBERT

Najpiękniejszy człowiek mego pokolenia: brat Albert.
Adolf Nowaczyński (1876–1944)

Kiedy pod Melechowem Moskale nogę Ci ubili
napisałeś: „Co tam noga, ręka, oko.
Jeśli duszę bym stracił,
cóż by mi zostało?”.

Kuternogo,
kuśtykasz do miejskiej ogrzewalni,
gdzie upośledzeni, wydziedziczeni,
moralna zgnilizna,
brud, karaluchy, pchły.

Braciom, siostrom –
pokój, dobro i chleb
niesiesz, Szary Bracie w obdartym habicie.

Beznogi z Igołomii –
w przytulisku
własne ciało
przykładasz do blizn, wrzodów i ran:
budujesz cywilizację miłości.

JEST I TAKA ZIEMIA

jest i taka ziemia –
samyh kamiennych pól
jałowa
której nie użyżni żadna praca
ani modlitwa
na której żadne ziarno
nie stanie się
takie jak brat Albert

SŁAWA

to jest prawdziwa sława:
być na ustach wszystkich
okruczem chleba

BRAT ALBERT

niech będzie pochwalony
Ten który ze śmietnisk życia
przez świat odrzuconych
niczym klejnoty wydobywał

niech będzie pochwalony
Ten który ludzkie serca
– stodoły na przednówku
miłością pozamieniał
w spichlerze pełne ziarna

niech będzie pochwalony
Ten którego regułą było
dla każdego stać się
chlebem
solą
i światłem

niech będzie pochwalony
brat naszego Boga

Edward Przebieracz

Wiersze z tomiku Edwarda Przebieracza „Wiersze przebrane. Wybór wierszy z lat 1991–2011” – Wydawnictwo św. Macieja Apostoła, Lubliniec 2014.

UWAGA! Na 3 pierwszych czytelników ZL, którzy prześlą e – maila na adres wydawnictwomacieja@gmail.com w jego treści wpisując „Brat Albert” czeka prezent: w/w tomik z dedykacją Autora.

Rezerwat Jeleniok-Mikuliny

OD REDAKCJI

Nasze pismo od wielu lat zajmuje się historią miejsc i obiektów zabytkowych, ale także historią i dniem dzisiejszym mieszkańców Ziemi Lublinieckiej. Bogactwem naszego regionu są też jego zasoby naturalne: lasy, wody, łąki i parki. W ludzkich siedzibach nie brak też życia innego niż nasze. Obok nas gniazdują ptaki, żyje mnóstwo owadów, małych ssaków, czy gadów. Żyje też wśród nas wielu zdolnych, bystrych obserwatorów tego życia. Są to zawodowcy, jak np. leśnicy, ale i wielu amatorów, z dużą wiedzą i umiejętnościami. W niniejszym numerze naszej „Ziemi Lublinieckiej” zdecydowaliśmy się na pewien eksperyment.

Oto w leśnej głuszy, w Piłce, mieszka mały chłopiec – Kuba mu na imię, który interesuje się przyrodą. Mieszka blisko jednego ze „skarbów” przyrodniczych naszej najbliższej okolicy – rezerwatu Jeleniok-Mikuliny. Często tam bywa, obserwuje ów „skarb” i zmiany w nim zachodzące. Namówiliśmy Kubę, aby opisał nam, co to za miejsce, te Mikuliny. Wielu z Państwa z pewnością je zna, inni jeszcze nie. Być może uda się Kubie namówić niektórych z Czytelników na wycieczkę do tego miejsca, a jemu samemu zostać twórcą i autorem nowego działu.



Rezerwat przyrody Jeleniok-Mikuliny, został utworzony 18 grudnia 1957 roku. Leży w lasach tarnogórsko-lublinieckich na terenie Nadleśnictwa Koszęcin, niedaleko miejscowości Piłka.

Rezerwat powstał na dwóch sztucznych zbiornikach gromadzących wodę dla poruszania koła wodnego, będącego siłą napędową tzw. krajzygi (piły tarczowej) w Piłce. Zbiorniki powstały na strumyku Jyjer Wisa, wpływającego do rzeki Leśnicy w Piłce.

Z rozległej niecki między wydmowej w XVIII wieku wywieziono piach do usypania dwóch grobli o łącznej długości 1400 m i wysokości 270 cm. Podobnie jak na innych stawach także i tu dla utrwalenia grobli posadzono sosny (Mikuliny) i dęby (Jeleniok). Powierzchnia lustra wody wynosiła 32 ha.

Nazwa stawu Mikuliny wzięła się od Mikuły – żony Mikuła, która była ostatnią właścicielką młyna stojącego po prawej stronie odpływu zlikwidowanego na początku XX wieku. Drugi staw Jeleniok nazywa się tak, z powodu intensywnych jelenich rykowisk, które odbywają się tam od wieków. Powierzchnia rezerwatu wynosi aż 120 ha (zmiana granic rezerwatu w 2012 roku), lecz początkowo wynosiła 37,5 ha, a później 44,5 ha.

W 1991 roku nastąpiła straszna powódź, która zalała lasy, a w 1992 roku zanikło lustro wody. Na Mikulinach, w środkowym rowie pozostało tylko 30 cm wody. W 2016 roku woda w stawie ponownie wyschła.

Od początku XX wieku stawy zaczęły dziczeć, zarastać roślinnością bagienną i przybrzeżną.

Zaczął się tworzyć torfowisko wtórne. Szata roślinna rezerwatu jest bardzo rozbudowana – występuje tam 177 (a niektóre źródła podają że nawet 200) roślin naczyniowych w tym kilka rzadkich, czy objętych ochroną gatunków: bagno zwyczajne, grązeł żółty, grzybień biały, widłak goździsty, widłak jałowcowaty, bagnica torfowa, jeżogłówka najmniejsza, przygiełka biała, żurawina błotna. W rezerwacie



występują także rośliny mięsożerne, są to: rosziczka okrągłolistna, pływacz drobny, pływacz średni i pływacz wschodni.

Do roku 1968 hodowano w obu stawach karpie, szczupaki oraz liny. Jesienią wylapywano ryby i spuszczano wodę. Co roku w rezerwacie we wrześniu i październiku można słyszeć intensywne rykowiska jeleni, które walczą ze sobą o samice, a wiosną można usłyszeć inne odgłosy: tańce godowe i walki ogromnych ptaków – żurawi. To z ich powodu, Rezerwat Jeleniok-Mikuliny został utworzony. Warto wybrać się do rezerwatu wiosną, aby posłuchać odgłosów żurawi, tzw. klangoru. Również inne rzadkie ptaki występują w rezerwacie, są to między innymi: kląskawki, mysikróliki, pełzacze leśne i wiele innych. W 2017 roku pierwszy lęg, wprowadziły tu gęsi gęgawy. Można tu spotkać także łąbędzia krzykliwego.

Symbolem rezerwatu jest oczywiście żuraw. Jest to ogromny ptak z rodziny o tej samej nazwie. Jest najwyższym latającym ptakiem świata. Upierzenie ma w większości szare, z brązowym odcieniem na wierzchu ciała. Głowa i szyja są czarno-białe, a na czubku głowy znajduje się kawałek nagej skóry o mocno intensywnej, czerwonej barwie.

Po powrocie do kraju, w lutym lub marcu (lecz coraz częściej żurawie zimą w Polsce), rozpoczynają się toki, czyli ptasie gody, które kończą się w czerwcu, a nawet na początku lipca. Samica składa kilka zielonkawo-szarych jaj. Żuraw zasiedla tereny bagiennie, stawy i torfowiska.

Długość ciała wynosi od 105 do 140 cm. Ogon: 19 – 22 cm, a rozpiętość skrzydeł od 200 do 250 cm. Żurawie ważą nawet do 7 kg. Składają 1–3 jaja.

Dla tych ptaków Mikuliny stały się miejscem lęgowym – jak podają źródła – od 1840 roku. Do 1978 roku przebywała tu jedna para żurawi, lecz od tego czasu zaobserwowano stopniowy wzrost liczebny tego gatunku. W 1980 gniazdz było aż 7, a obecnie jest ich 5.

Tekst i zdjęcia: Jakub Kopyciok, lat 12

Lubliniec wczoraj i dziś



Początki szkolnictwa zawodowego w Lublińcu związane są z tzw. „czerwonym” budynkiem dzisiejszej Szkoły Podstawowej nr 1, gdzie w 1924 roku otwarto pierwszą szkołę zawodową, dzielącą pomieszczenia z ówczesną szkołą powszechną. Drugim ośrodkiem szkolnictwa zawodowego był budynek bursy Gimnazjum i Liceum im. Adama Mickiewicza, gdzie w 1936 roku otwarto Szkołę Rolniczą. Edukacja zawodowa prowadzona była również w zakładzie dla głuchoniemych. Szkoła zawodowa wznowiła swoją działalność w 1946 roku jako Publiczna Szkoła Średnia Zawodowa, obejmując później swoim



kształceniem również pracujących, przyuczając do zawodów ślusarza, zduna malarza. Dzielenie pomieszczeń ze szkołą podstawową nastroczało coraz więcej trudności, dlatego w latach 1963–1965 zbudowano przy ulicy Zwycięstwa nowy gmach, w którym w 1966 roku rozpoczęła działalność Zasadnicza Szkoła Zawodowa im. Ludwika Waryńskiego. W jej budynku z czasem otwarto również inne formy kształcenia: technika mechaniczne i budowlane; licea handlowe, ekonomiczne i ogólnokształcące oraz szkolnictwo dorosłych. Dzisiaj budynek mieści Zespół Szkół Ogólnokształcąco-Technicznych.



Budynek znajdujący się u zbiegu dzisiejszych ulic Piłsudskiego i Grunwaldzkiej, przy rondzie Jana Pawła II, posiada bardzo bogatą historię. Już w XVII wieku na tym terenie umiejscowiony był młyn zamkowy, funkcjonujący w oparciu o nieistniejący już staw, znajdujący się naprzeciw budynku. Kolejni właściciele młyna prowadzili również w nim karczmę. Na początku XX wieku młyn zaprzestał działalności, a budynek stał się własnością miasta. Funkcjonowała w nim „Restauracja



Młyn Zamkowy”. Jej dzierżawca, Antoni Kusch, udostępnił mieszkańcom Lublińca w czasie zimy staw do jazdy na łyżwach. Władze miejskie zaprzestały z czasem dzierżawienia budynku, dokonały w nim remontu i umiejscowiły tam kasyno oficerskie, funkcjonujące w latach 1913–1920. Związane to było z faktem przybycia do Lublińca pierwszych jednostek wojskowych. W okresie międzywojennym w budynku ponownie otwarta została restauracja.

Tekst: Sebastian Ziółtek

Zdjęcia: Sylwia Mietelska, Lubliniecki Klub Fotograficzny
Zdjęcia archiwalne ze zbiorów Andrzeja Gatysa